

NATALIA RYBAK



OPOWIEŚCI NIANI

PRZEDMOWA

Do (...) „Opowieści Rodzinnej”, pisanej przez naszego Ojca w okresie II wojny światowej – na podstawie wspomnień i dokumentów – ciekawym materiałem uzupełniającym są zebrane przeze mnie, z dorywczych opowieści, wspomnienia mojej Niani – Natalii Rybak (Praniani – jak ją kiedyś moje wnuki nazwały), urodzonej 28 czerwca 1889 roku.

Od momentu kupna Bobrownik przez Ojca – tj. od roku 1910 – przebywała stale w naszej rodzinie, stając się z czasem pełnoprawnym jej członkiem. W roku bieżącym – kiedy udało mi się ułożyć w porządku chronologicznym jej sześćdziesiąt dwa lata od chwili, gdy jako młoda dziewczyna zaczęła u nas pracować.

Minęło wiele lat, przetoczyły się wojny i wielkie wydarzenia dziejowe, zmieniły się czasy i obyczaje..... Dzieci, które Niania piastowała, opowiadała im niezliczone bajki, gromiła i pieściła – są już dzisiaj starszymi ludźmi. Ich dzieci – drugie pokolenie – doszły też do wieku dojrzałego. Wchodzą obecnie w życie i ... do jej serca – dzieci z trzeciego już pokolenia.

W epoce wielkich zmian, nie zmieniła się chyba tylko ... Niania. Na przekór wszystkim zmianom – ona jest zawsze taka sama. Zachowała swój – prymitywny może, ale oryginalny sposób myślenia, swoje zasady i poglądy, a nawet sposób ich wyrażania.

Postać jej zasługuje na poświęcenie jej odrębnego rozdziału kronik rodzinnych. Zamierzam to – o ile czas pozwoli – uzupełniać w przyszłości, włączając jej, tak bliską naszej rodzinie osobę, do rodzinnej „sagi”.

Obecnie, ze względu na to, że treść wspomnień Niani wiąże się ściśle z okresem opisywanym przez mojego Ojca w pierwszym tomie jego opowieści, zatytułowanym „W rodzinie” – uważam za ciekawy do niej przyczynek to, dość specyficzne, naświetlenie wydarzeń przez osobę, której życie bezpośrednio było z nami wszystkimi związane.

Charakterystyczne jest, że wspomnienia swoje Niania snuła przede mną mając już ponad 80 lat, co świadczy o niespotykanej w tym wieku pamięci. Zadziwia czasem słuszność sądów i obserwacji.

Spisywanie tych nianinych wspomnień nie było łatwe – trzeba było w czasie wieczornych pogawędek wprowadzić ją w odpowiedni nastrój i dobry humor. Jeżeli się to udało, opowiadania płynęły już gładko.

Staralam się zachować styl i język zgodny z oryginalnym sposobem mówienia mojej interlokutorki. Wszelkie wprowadzane zmiany, czy korekty pozbawiłoby opowiadanie jego oryginalności i swoistego charakteru.

Dodać trzeba, że dużą część szczegółów – zwłaszcza z okresu pobytu na Litwie – konfrontowałam z informacjami osób, które jednocześnie z nami tam przebywały. Stwierdziły one całkowitą zgodność faktów ze stanem rzeczywistym.



Teresa Konarska ¹

Warszawa, kwiecień 1972

¹ Teresa Konarska, to we wspomnieniach „Terynia” – najmłodsze dziecko Józefa Janoty Bzowskiego i Wandy z Kozieł Poklewskich. Niania zastąpiła jej matkę, kiedy ta, rozkochana w młodym chłopcu, rzuciła rodzinę. Terenia miała wtedy 2 latka. Mieszkały z Nianią razem do małżeństwa Teresy, a po wojnie od 1946 roku – po śmierci ojca Teresy – przyjechała do niej do Sopotu i do końca życia Niani były już razem.



Urodziłam się na Wygwizdowie.



To była mała, złożona z paru tylko domów osada folwarczna, należąca do hr. Ostrowskiego. Mój ojciec był tam łącznym, pilnował łąk – wielkich, irygowanych, co to ciągnęły się daleko z tamtej strony Pilicy. Matka była córką owczarza – też na hrabskim. Jak matka wychodziła za mąż, to hrabia dał jej krowę, a kiedy

krowa się polatowała i miała cielę, to krowę rodzice oddali, ale sami dochowali się potem sześciu krów rasowych, czarno-białych. Ojciec pracował jako łączny, a matka była w domu, przędła kądziel, wyrabiała płótno i zajmowała się dziećmi. Dzieci było sześcioro – Marcin, Józef, Jan, Franciszka, ja i młodsza ode mnie o dwa lata, Mania.

Rodzice umarli w jednym tygodniu, jak ja miałam pięć lat. Oboje mieli tyfus. Matka jeszcze przed tym miała operację, bo dziecko nie mogło się urodzić, potem przyplątał się tyfus. Matka umarła pierwsza, ojciec chory także leżał w stodole i tam przyjechał do niego ksiądz z Sakramentami Świętymi. I potem umarł.

Kiedy rodzice pomarli, to hrabia Ostrowski przyjechał na Wygwizdów i powiedział do najstarszego brata, który miał wtedy 18 lat:

- Żebyś mi tylko dzieciaków nie zmarnował!.....

Brat objął po ojcu pracę jako łączny. Hrabia kazał sprowadzić z Łodzi siostrę mojej matki, żeby się nami opiekowała. A potem przyjeżdżał co miesiąc na Wygwizdów i pilnował, żeby nam się krzywda nie działa. Kazał też rządcy z Krzętowa, żeby nam przywoził nabiał i owoce. Brat Józef uczył się u kowala w Bąkowej Górze. Był to też majątek hrabiego – miał dwadzieścia pięć majątków – Krzętów, Wola Życińska, Ciszkowice, Rudka, Bąkowa Góra, Chrzastów, Radoszewnica i jeszcze wiele innych. Ale był bardzo dobry i dbał o ludzi. Nie był żonaty.

Wieczorami brat nas uczył. Do szkoły nie chodziłyśmy. Ja oprzątałam inwentarz, pasłam krowy, a Mania gęsi. Ciocia była przy nas, ale potem pojechała do Łodzi, gdzie pracowała czterdzieści lat u państwa Markiewiczów.

Brat się ożenił z córką karbowego Stanowisk. Hrabia dał mu wtedy zapomogę – w rublach, bo to wtedy były ruskie pieniądze. Ja dalej pracowałam przy gospodarstwie.

Kiedy już miałam dziewięć lat, trzeba było chodzić codziennie na naukę do Wielgomłyny. A to było od Wygwizdowa siedem kilometrów. To chodziłam

najpierw do Krzętowa, a potem już z dziećmi szłam do Wilgomłyn. Wtedy pasłam krowy tylko do godziny jedenastej, a potem już wychodziłam na naukę do księdza. Wracałam o trzeciej.

U Pierwszej Komunii Św. Byłam w Wielgomłynach. Bratowa kupiła mi materiał, a moja siostra mi uszyła sukienkę. Pamiętam ją doskonale. – miała niebieskie kółeczka na białym tle.... A potem znowu było wszystko tak samo. Zajmowałam się krowami, a moja bratowa to nawet nie bardzo jeść mi dawała. Były przecież cztery mleczne krowy, a mnie to suchy chleb dawała, a nawet jak czasem posmarowała masłem, to tak, że nawet nie było widać.

Moja bratowa chciała, żebym poszła na służbę, bo miałam już piętnaście lat. Ale ja się bałam służby. Mania była na służbie u leśniczego z Rudki i miała bardzo niedobrze, miała dużo pracy, musiała oprzątać świnie. Gospodyni była niby to dobra, ale – choć to ona już jest na boskim sądzie – ale dla służby to dawała tylko kapustę, barszcz i kartofle. Jak się siostra Polegajowa dowiedziała, że Mani jest tak niedobrze, to ją wzięła do siebie. Potem Mania poszła do Maluszyna, do dyrektora cukrowni. Tam też miała ciężko i też siostra ją odebrała. Później poszła do Silniczki, do pokojów. Miała trzynaście pokojów do sprzątania, paliła w siedmiu piecach. Kiedy brat najmłodszy przyjechał z Rosji, bo tam odslugiwał wojsko, to Manię zabrał z Silniczki i zabrał ją do Rosji do drugiego brata, Józefa. I Tam mania była przez jakiś czas. Podobno bardzo płakała, bo to nie знаła języka, a potem pracowała przy ochronce. A jak dorosła, to wyszła za mąż za zakrystiana.

Ja ciągle byłam u bratowej, ale ona bardzo nastajała, żebym poszła na służbę, żebym już więcej nie była w domu.



Bobrownikach,

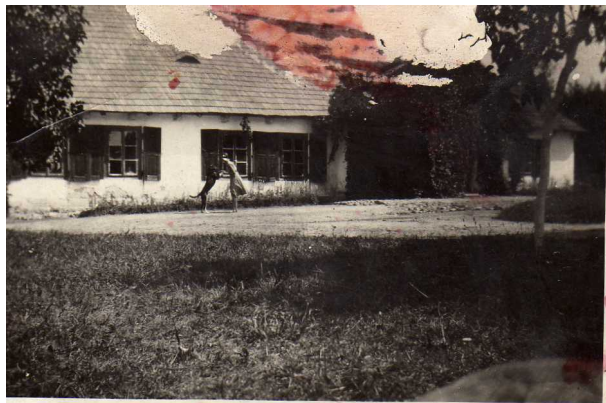


po drugiej stronie Pilicy, właściciele państwo Rogóyscy pomarli i zostawili dwoje dzieci – jeden chłopiec nie miał podniebienia. Rodzina wzięła dzieci do siebie, a Bobrownikami zajmowała się kuzynka, p. Czajewicz z ojcem. A ta pani Czajewicz to miała służącą, ale ona wyszła za męża. Wtedy karbowy Wojtczyk i taki drugi od lasu powiedzieli, że Łączny na

Wygwizdowie ma siostrę. No i ten Wojtczyk przyjechał na Wygwizdów konno i namawiał, żebym tam poszła na służbę. Co prawda ja byłam już na jednej służbie – w Wielgomłynach u jednych takich co to mieli monopol, to znaczy się sprzedawali wódkę. Musiałam wstawać o czwartej rano, bo już o piątej przychodzili parobcy na śniadanie. Miałam być tam do pokojów, ale i do pola chodziłam i podłogi szorowałam. Miałam tam tak niedobrze, że Polegajowa – niby moja siostra – nawymyślała bratu i on po mnie przyjechał. Pani nie chciała mnie puścić, ale brat zabrał rzeczy, a ja zostałam jeszcze do soboty. Śnieg wielki wtedy przyleciał, zawierucha i zamęt był wielki, ale wcale tego nie czułam, kiedy wracałam do domu. Padałam w śnieg po kolana, ale szłam i szłam na Wygwizdów. Dobrze, że jechali tam jedni tacy półkoszkiem. Zdziwili się, gdzie to ja sama idę w taki śnieg, kazali siadać do półkoszka i zawieźli mnie do Rogów. Od Rogów to już szłam znowu tym śniegiem pod lasem. Przyszłam zaszargana, zmarznięta.... Ale tak się cieszę, tak się cieszę, że już jestem w domu przy piecu!.... Boże, Boże, takam była rada, że już nie muszę wstawać o czwartej rano!

Po tygodniu znowu przyjeżdża Wojtczyk i namawia, i namawia i perswaduje, że będzie mi dobrze, żebym poszła do pani Czajewicz. No, i musiałam iść, chociaż bardzo nie chciałam. Przyjechał po mnie fozsman – niby furman od cugowych koni, bryczką przed wieczorem razem z Wojtczykiem. I już Wojtczyk wywozi moje rzeczy....

Płakałam, płakałam przez całą drogę do Bobrownik. Wojtczyk to powiedział, że jeszcze nie widział żeby ktoś tak płakał.



W Bobrownikach pani Czajewicz wychodzi przed ganek, rzeczy znoszą z bryczki, a ja płaczę i płaczę... Pani Czajewicz poszła, przyniosła mi bułkę, nakłada marmolady i mówi, że potem dostane masła. To ja sobie myślę: „Będę miała chleba do sytości!..” Ale płakałam ciągle do domu, a co wyszłam na dziedziniec i zobaczyłam Wygwizdów, to znów zaczynałam płakać.

Na drugi dzień przychodzi Janowa – niby Wojtczykowi – bo ona robiła obiad. Była zupa szczawiowa, to pamiętam. Przychodziła też Kazimierzowi ze wsi, co to paliła w piecach. Pokazała mi jak trzeba sprzątać. Kazimierzowi otwierała też codziennie okiennice, już ja nie musiałam po śniegu chodzić je otwierać; obierała też kartofle.

To ja myślę w końcu sobie: Patrzcie państwo, jak to jest dobrze, czego ja właściwie rozpaczam... byłam pojętna, robota dobrze mi szła. Kiedyś Pani Czajewicz wyjechała i ja panu starszemu zrobiłam cielece nóżki – okropnie mu smakowało!! Na drugi dzień pani Czajewicz wyjeżdża i mówi:

- Trzeba Janową zawołać, żeby ugotowała obiad.

A stary pan mówi:

- Daj mi spokój z Janową, ta dziewczyna lepiej gotuje.

A potem robiłam babki. Nie miałam pojęcia jak to się robi. Jak się one upiekły, to sama nawet teraz nie wiem.....

Pani Czajewiczowa była dobra, tylko jak się opila, to była ostra. Spizarnia była wielka – czego tam nie było! Wódki, jakie tylko mogą być na świecie, wędliny, szynki – wszystko było. A ja miałam klucze do tej spizarni.

Było w Bobrownikach moc czereśni – zrywał je chłopak i przynosił. Co tam z nimi robiłam – nie pamiętam..... chyba rozdawałam. Potem nauczyłam się piec bułki na zsiadłym mleku i chleb i jakoś na ten przykład wszystko mi dobrze wychodziło.

A Pani Czajewicz lubiła pić wódkę. A mnie też mówiła:

- Moje dziecko, jak sobie z rana wypijesz kieliszek wódki, to zaraz robota ci lepiej pójdzie.... Wypiłam tam ze dwa, czy trzy razy, ale potem to już nie chciałam, ani mnie nawet myśl nie zawiedła.... Otrząsło mnie od tej wódki i już więcej nie słuchałam. Żeby sobie wypić.

Byłam u państwa Czajewiczów pięć chyba miesięcy. A po pięciu miesiącach Bobrowniki wystawili na licytację, że to niby nie miał się nimi kto zajmować i gospodarstwo prowadzić, bo dzieci małe były. No i kupił Bobrowniki Pan Starszy. Bo to pani Konarska z Kluczeńska, co to była przyjaciółką Pani Starszej, tak namawiała i namawiała, że to sobie będą blisko mieszkać, że to majątek dobry, tylko zaniedbany, ale jak ktoś zadba, to na pewno dobrze będzie.

Pani Czajewiczowa pojechała do siostry do Silniczki, a jej ojciec do córki, do Chrzastowa. Jak wyjeżdżał – pamiętam – przyszedł do mnie i powiedział:

- Niech ci dziecko, Bóg twoją rękę błogosławi.....

A jak pani Czajewicz wyjeżdżała, to dała mi klucze i mówi:

- Masz klucze i pamiętaj, nie wolno ich oddawać nikomu, póki mebli nie zabiorę!

Pani Czajewicz zabrała meble – a bardzo miała meble stare i zniszczone.



potem przyjeżdżał Pan Starszy. Bo państwo byli w Kluczewsku u państwa Konarskich z dwoma młodszymi chłopcami, Jerzykiem i Antkiem. Pani była w ciąży z Marychną.

A potem przyjechała Pani Starsza – w długiej, takiej pięknej sukni! Przyjechała z panną Antoniną i chłopcami czterema arabkami, wolantem. Była wspaniała i bardzo przystojna! Pamiętam, przychodzi do garderoby, a ja tam kartofle obierałam i mówi:

- Moje dziecko, a może ty zostałabyś u nas?

A ja mówię, że nie, że jak tylko pani Czajewicz mnie weźmie, to do niej pójde. Bo wtedy nie miała posady.

Przyjeżdża później Pan Starszy, przywozi tapeciarzy, malarzy, stolarzy... Odnawiają wszystko bardzo wspaniale, przerabiają. Pan Starszy to przyjeżdżał zawsze na koniu, ja potem palto podawałam.....A Pan Starszy dawał mi zawsze 50 groszy. I tak stale namawiał mnie, żebym została. A ja nie i nie.

Pilnowałam tapeciarzy, nocowałam w kuchni czeladnej w oficynie. Oficyna wtedy była mała – tylko jeden pokój i kuchnia, nie tak jak później, co to miała tyle pokoi....

W końcu przyszły meble z Radomia. Bardzo ładne to były meble.

No i potem Państwo wprowadzają się.



Nie mieli kucharki, bo to była tam przed tym Teofila, ale wyszła za męż. To ja mówię, że ja mam ciocię w Łodzi, co to bardzo dobrze gotuje. Pracuje w Łodzi u państwa Markiewiczów. No, to Wojtczyk znowu jedzie do Łodzi do mojej ciotki. Ciocia przyjechała, ale od razu powiedziała, że tylko na dwa tygodnie. Pani Starsza znowu mówi do Cioci, żeby mnie namówiła na zostanie w Bobrownikach. To Ciocia zaczyna mi tłumaczyć, perswadować: że to państwo porządni, a że tamta pijaczka – zostań i zostań!... To i w końcu zostałam do pokoi. Mogłam niby iść do brata, ale sobie powiedziałam:

- Kiedy mnie wypędzili, to do nich nie pójde.

Już nabrałam odwagi. I powiedziałam sobie, że wcale nic już od nich nie chcę, kiedy tacy.... A jeszcze pani Czajewiczowa, to dawała mi nieraz po siedem litrów piwa dla brata i bryczką się tam woziło.

W czerwcu i lipcu tapetowali i malowali pokoje, a państwo sprowadzili się jakoś w sierpniu. Bo to i w końcu sierpnia miała się Marychna urodzić. Przyjechała akuszerka z Warszawy, a jak się tylko trochę bóle zaczęły, to poszły konie do Przedborza po doktora Masłowskiego. Drugie konie poszły na połowę drogi, żeby można było prędzej przyjechać. Doktor Masłowski przyjechał gdzieś około piątej po południu, a na drugi dzień o szóstej urodziła się Marychna. A przedtem jeszcze to akuszerka przyleciała do kuchni i woła:

- Palcie szybko pod płyta i wstawcie dużo gorącej wody!



Rano przychodzi Pan Dziedzic i mówi:

- Mamy panienkę!

Bo to przed tym sami chłopcy byli – pięciu po kolei, tylko ten pierwszy to umarł, jak był malusieńki – a państwo chcieli koniecznie córkę, nawet Jerzyka ubierali w sukienkę i kokardę mu na głowie wiązali..... co to on wcale tego nie lubił.



Chłopcy: Janek, Tadeusz, Jerzyk i Antek

Przyjechała do dziecka pielęgniarka z Warszawy, ewangeliczka, ale dobra i religijna. Tak się bardzo martwiła, jak ten Macoch okradł kościół w Częstochowie, bo to i też cały świat o tym wiedział! Co prawda, żałował potem bardzo i pokutował, a na koniec życia, to kazał się pochować na rozstajnych drogach, gdzie najczęściej chodzili, żeby po nim deptali.... A podobno to on miał jakąś panienkę i dla tej zmierzoty tak wszystko robił..... Pielęgniarka była do tego czasu, jak Marychna miała jedenaście tygodni.



A potem państwo szukali kogoś do dziecka, ale umyśleli, że nie chcą obcej. No, i ja poszłam do dziecka, a do pokoiów sprowadzili Dorotkę, co to jej matka była w Kluczewsku do drobiu. Dziecko to było pana Konarskiego, tak wszyscy mówili, ale on już na Boskim Sądzie, to i nie chcę o tym mówić.... Miał podobno i wiele innych...

Ale potem to był bardzo porządny pan i żonę kochał. Dorotka miała 15 lat, bardzo była miła i ładna.

Chłopcy starsi, Janek i Tadzio, byli u matki Pana Dziedzica w Lipniku, przyjechali dopiero jakoś wtedy jak już pielęgniarzka pojechała. A pani z Lipnika, to chciała, żeby państwo tam byli i chciała majątek dać, ale Pani Starsza nie chciała tam mieszkać i dlatego Pan Dziedzic kupił Bobrowniki. Bo to Pan Starszy tk uwielbiał Panią Starszą, że robił wszystko, co to ona tylko chciała.... A przed tym to mieszkali w Pasztovej Woli i tam się wszyscy chłopcy urodzili. A Lipnik to był bogaty majątek... ziemia pszena była i bardzo bogata! Ale jak się Pani Starszej tak zażądało, to Pan Starszy Bobrowniki jej kupił. A pani z Lipnika to była zacności wielkiej i lubiła Panią Starszą, ale ona nie była dobra, zawsze jej jakąś łatkę przypięła..... A potem, jak pani z Lipnika przyjeżdżała, to zaraz Pni Starsza mówiła, że ją żołądek boli, albo coś innego..

Młodszy chłopcy to razem z państwem przyjechali z Kluczewska, mieli włosy tak równiutko ucięte, a Jerzyka to w kokardki czesali, że to niby córeczka. Pani Antonina to była z chłopcami w tym pierwszym pokoju od ganku, a chłopcy wszyscy w kancelarii mieszkali. A czego tam nie było! I sowy, i jastrzębie i psów dużo i nawet żmiję zmierzony kiedyś chowali. A okno w kancelarii było takie niskie, co to oni zawsze przez nie wychodzili, bo drzwiami było im za daleko.

Ja z dzieckiem byłam w tym małym pokoju od ogrodu, przy sypialnym.

Jak mi powiedzieli, że mam być do dziecka, to całkiem nie wiedziałam co robić. No i tak siedem lat pokutowałam z małymi dziećmi.... Marychna to miała takie coś, że wcale nie chciała spać. A w nocy to było chyba z sześćdziesiąt pieluch... Pieluszki prała kobieta w czeladnej i każdą prasowała. Mnie też wszystko prała, bo ja byłam tylko do dziecka. W pokoju był taki duży stół z poduszką, prześcieradłem i ceratą. I na tym stole to się przewijało dziecko.

Marychnę karmiła mamka – żona kowala, co przyjechał z państwem z Pasztovej Woli. Miała dziecko w tym samym wieku. Doktor przyjechał, zbadał mleko - czy zdrowe. Karmiła Marychnę do siedmiu miesięcy, a potem już była na śmietance, co to się wodą rozrabiało. Była dla Marychny jedna osobna krowa, żeby mleko było to samo.

Potem jadła już przecierany szpinaczek, zupki jarzynowe, a potem kotlet z przecieranej kury. Jak Marychna miała już dwa lata, a gruba była bardzo – jak to i widać na tych fotografiach co to zostały, to zaczęły się różne rzeczy.

Bo i zawsze w karnawale każdym przyjeżdżali, żebym za mąż wyszła. Jeden z Przedborza koniecznie chciał się ze mną żenić i rodzina chciała mnie wydać. I aż się bałam, co to znowu w tym karnawale będzie.... A przecież nie miałam posagu, a za innymi dawali 150 czy 200 rubli posagu ... Brat przecież nic za mną nie chciał dać. A ten z Przedborza to myślał, że Ciocia jest bogata i mnie wywianuje, a ja przecież wcale tego nie wymagałam.

Ani jeden mi się nie podobał, bałam się tylko, że zostanę starą panną. Jeden Kubik tylko trochę mi się podobał, był zamożny, pracował też jako zdun i miał gospodarkę – on i Bąk to byli najbogatsi w Bobrownikach. Kubik miał ładny dom, naprzeciwnie pachciarza, i koni parę miał....



Dziewczyny



Kawalerowie

Przysłał Kaśkę Grzybkówkę, żebym za niego wyszła, że pójdzie do brata. Rodzice jego też chcieli, żebym za niego wyszła. Podobał mi się, ale żeby ze wszystkim - to nie. Dziewczyny mu swatali, co za nie dawali po 200 rubli, a on nic, tylko mnie chciał..... Ja wychodzę z kościoła, patrzę – a on już jest! I tak zawsze. Albo jak muzyka we wsi była, to też tylko za mną chodzi. Nawet Grzybkówka była zła, że to niby ona taka tancerka, a on mnie woli. Powiedział, że ani razu z nią nie zatańczy, i chociaż go namawiałam – dotrzymał słowa i nie zatańczył z nią. I z tym mi się podobał.....

I doszło do tego, że tylko się chce żenić. A ja – że nie, i nie, że nie mam pieniędzy i nie chcę, żeby mi potem kto wymawiał. A on mówi, namawia, że będzie mi dobrze, że nie będę ciężko pracować, że on wszystko zrobi.....

Jak my z Dorotką szły na muzykę, to najwięcej z nami chłopaki tańczyli.... Miałyśmy takie sukienki ładne, ładnie uszyte, wąskie, nie takie jak miały inne dziewczęta na wsi. Takie – z klinów były uszyte – bardzo ładne! To inne siedziały, a my tańczyły! I takie złe były, że z tej złości nazywały nas „opięte dupy”! A z tymi zabawami na wsi, to było tak. Jak dzieci poszły spać, to ja pomagałam Dorocie wycierać talerze, a potem, to niby nad rzekę – a z nad rzeki – na muzykę! A potem – choć trzymałyśmy się płota – to chłopaki do tej izby, gdzie muzyka u Łączka była, nas wносиły. I jeszcze taniec, i jeszcze taniec!!..

A był w Bobrownikach taki stróż, Kot się nazywał, i on był strasznie zły na nas – naumyślnie spuszczał wcześniej psy, jak poszłyśmy na muzykę. Był taki jeden zły pies – Szprynt mu było – co to mógł człowieka bardzo pogryźć. To kiedyś Dorota jeszcze została, a ja wróciłam i myślę sobie:

- Co to teraz będzie, jak te psy spuszczone – jeszcze mnie pogryzą..... bo to były złe psy spuszczone na noc. Ale jakoś wróciłam. Jak wychodziłyśmy z Dorotą na muzykę, to zawsze zostawiałyśmy uchylone okno w garderobie, żeby wejść.

Tego dnia szła burza – łyskało się i grzmiało. A stróż poskarżył, zmierzona, Panu Starszemu, że my chodzimy na muzykę. Kiedy wróciłam – a była to chyba już jedenasta – to zaraz wszedł Pan Starszy do garderoby i mówi:

- Natałko, weź dzwonek i podzwon.

To ja myślę sobie: Jak to dobrze, że już jestem, co to byłoby jakbym jeszcze nie wróciła do domu. Wzięłam dzwoneczek – taki loretański, bardzo poświęcany – dzwoniłam, zęgnalam i ludzie się wtedy nie bali. Bo to dzwoneczek był dziewięć razy poświęcany i jak się dzwoniło na burzę, to chmury się rozchodziły. Ale tylko jedna ręka może dzwonić. Dzwonię i dzwonię, a Dorota dopiero idzie. A to małe noce były wtedy. Dorota to prędzej mogła późno wrócić, bo spała w garderobie, a ja w pokoju z dzieckiem.

Pani Starsza, to żebyśmy z Dorotą nie chodziły na muzykę na wsi, wezwwała Basię z czeladnej kuchni i kazała, żeby zaprosiły chłopaków i dziewczęta do garderoby na przyjęcie takie dla nas. To tak zawsze było raz do roku. Była wtedy muzyka z Krzętowa – Włóska grał... Byleby tylko na wieś nie chodziły na muzykę. Z dziewczyn była też Kaśka Grzybkówka, co to dwóch braci miała – Stasiak chodził do roboty, a Jasiak Grzybek był fornalem. A Stasiak potem, to z tego strachu, żeby go do wojska nie wzięli – całkiem zwariował i tak chodził po wsi i po podwórzu, coś gadał bez sensu, a kamieniami rzucał. Czasem to on się do goła rozbierał. Potem to był w jakimś tam zakładzie dla wariatów, ale uciekł i zaraz umarł w oborze, na tym miejscu, co to i Grzybkowa stara umarła.....

Potem to zaczęli znowu mówić, żebym za mąż wyszła – niby za tego z Przedborza. Mam wrócić niby do brata na Wygwizdów, ale wcale nie chciałam iść A Pani Starsza rozpacza rozpacza....

Mój chrzestny ojciec z Krzętowa, nie chciał pozwolić żebym za mąż wyszła za tego z Przedborza, bo podobno pijak. Ale odeszłam na Wygwizdów i już nawet na pacierz poszłam, to niby na zapowiedzi. Przychodzą to wtedy na pacierz trzy, albo cztery pary. Ksiądz pytał z katechizmu. Spytał jego o cztery prawdy – a on zamiast powiedzieć, że Pan Jezus stał się człowiekiem i umarł na krzyżu, to powiedział, że to Bóg Ojciec....

Podobno ten z Przedborza to co dwa tygodnie przychodził na pacierz z innymi. Szukał pieniędzy, a za mnie to myślał, że ciocia da. Chciał założyć masarnię. Ciocia też była na tym pacierzu wtedy, bo akurat była na Wygwizdowie. Jak on z tymi czterema prawdami pomylił, to ciocia mówi:

- A może panna młoda powie.....

Ale ksiądz mówi, że on nic nie ma do panny młodej, a on niech się pacierzy nauczy. Mój chrzestny ciągle mówił, że nie pozwoli na ten ślub, a on był opiekunem po rodzicach kiedy zmarli....

Tymczasem Marychna, że to była bardzo przyzwyczajona, ciągle mnie wołała po wszystkich kątach i wołała: „Talu, Talu!” Co zobaczyła coś mojego to mówiła: „ A to bluzka Tali wisi...” Pani Starsza chciała koniecznie, żebym wróciła, a ja – że niby miałam swój upór – nie chciałam, bo się wstydziłam wracać. A dziecko ciągle płakało, bo to i bajki jej opowiadałam, no i przyzwyczaiła się do mnie bardzo. I ja też byłam przyzwyczajona....

No i dziecko rozchorowało się, dostało 40 stopni gorączki. To Janek – bardzo się tym przejął – wziął kuckę i chciał przez rzekę jechać po mnie. Byłby się jak amen w pacierzu utopił, bo powódź wtedy była i rzeka bardzo wylała. Dobrze, że chłopcy zobaczyli i go zatrzymali.

Do Marychny przyszła potem Józia, co to miała synka Marianka. A Marychnie już szło wtedy na trzeci roczek.



Wtedy, kiedy to byłam na Wygwizdowie przyjechała dyrektorka z Silniczki, żebym ja poszła do niej za Manię, co to do Rosji z bratem pojechała. Poszłam, a to było późną jesienią – trzeba było w piecu palić o piątej, krowę doić, a także bieliznę, co to ją prała jedna kobieta, wykańczać. W niedzielę poszłam do brata i płakałam, że mi tak ciężko. A brat powiedział mi, że to nie dobrze, ale cóż, źle jest na świecie.....



To i wracam do tej Silniczki przez las od Żylińskiej Woli.

A tam po lesie chodził taki chłop, co to dziewczyny zaczepiał. I chyba łaska Boska była, że jechał do Woli Żylińskiej Szczepański, taki co to z nim siostrzenicę Stefkę, tę z Wygwizdowa do chrztu podawałam. Jedzie on, a ja zapłakana ze strachu. Mówi do mnie:

- Proszę siadać!

A ja, że nie.

To on – niby żartem – powiada:

- Siadać, bo batem dam!

I mówi, i tłumaczy, że chłop po lesie chodzi i mogę mieć przykrość. No i pojechałam z nim do Żylińskiej Woli.



Solniczce znowu chodzę, sprzątam, pani dobra, ale roboty dużo bardzo! Widać brata coś ruszyło, przyszedł za tydzień i powiedział, że jak mi tak źle, to żebym rzuciła służbę. Ale jeszcze wtedy nie poszłam.

Pałiłam w piecu, specjalnie się nachylałam do pieca, żeby zachorować, aż dostałam takiego szumu w głowie.... Myślałam nawet rzeczy wziąć w tobolek i iść do domu, ale bałam się tego co chodzi po lesie i gania dziewczyny. No i zachorowałam, dostałam gorączki i miałam zamęt wielki głowy. Przyjechał doktor pałacowy z Koniecpola.

Ten doktor to przyjeżdżał co tydzień dla zbadania dworskich – nic to nikogo nie kosztowało, bo hrabia za to płacił. Doktor przepisywał receptę, jechało się z tym do Maluszyna, gdzie w pałacu była apteka i tam robili te lekarstwa. Nie płaciło się za lekarstwa nic.

Dla biednych były ochronki dla dzieci i szpital dla ludzi dworskich. Hrabia płacił za wszystko, a ludzie nie płacili. A majątek to był też wielki – dwadzieścia pięć majątków w to wchodziło. I lasy strasznie wielkie były i łąki ogromne i bogactwa wiele, ale hrabia ludzki był człowiek i dbał o ludzi bardzo.

Ten doktor akurat przyjechał do dyrektora na herbatę, podawałam herbatę, wieszałam płaszcz, a potem kazali mu mnie zbadać. Mówię, że mam zawrót głowy, wielki szum w głowie i gorączkę. To ten doktor kazał mi dwa tygodnie leżeć i żeby nikt do mnie nie mówił. Mówię dyrektorowej, że pójdę do brata, a ona na to, że mogę przecież tu leżeć w ciszy i nikt nie będzie do mnie mówił. Ale ja chciałam na Wygwizdów. Konie kazali założyć, wolancik taki był i tym pojechaliśmy do Maluszyna po lekarstwo, a potem na Wygwizdów. Rzeczy zostały. Pani pytała:

- Czy ty dziecko wrócisz?

A ja, że wrócę. Dostałam wysypki, ale czwartego dnia przeszła.

Proszę wtedy ciocię, żeby po moje rzeczy pojechała i powiedziała, że choroba przeciągnie się przez dwa, trzy miesiące. Pojechała, a tam dyrektorowa mówi, żebym koniecznie wróciła. Ciocia mówi, że jestem teraz słaba, ale daje słowo, że jak wyzdrowieję, to wrócę. Ale rzeczy zabrała.

Bratowa znowu robiła wszystko, żebym u nich nie była. Przyjechał leśniczy z Rudki. Miał żonę i trzy córki w Piotrkowie i chciał, żebym do nich pojechała. Brat mnie namawiał i bratowa, bo to nie chciała, żebym była.

Leśniczy przyjechał z Rudki wieczorem po mnie końmi. Mróz był wielki – chyba więcej jak trzydzieści stopni. A ja nic ciepłego nie miałam, tylko chustkę. Potem z Rudki jechaliśmy pięć godzin do Gorzkowic, a potem do Piotrkowa pociągiem. Byłam przemarznięta jak lichy. Nogi mi zmarzły, że ruszać nie mogłam.

W Piotrkowie było jedenaście osób, pranie. Wodę do pralni musiałam przynosić z ulicy, było dwa pokoje do sprzątanego i szorowania podłogi i gotowanie też. Była jeszcze druga dziewczyna do dziecka. Dostawałyśmy chleb i zalewajkę. A jak prałam to dawali mi chleb i sypali na chleb pokrojone białko, bo żółtko wyjęli przedtem. Była tam kobieta druga co prała i powiedziała mi, że nie mogę tu zostać i że ma dla mnie bardzo dobre miejsce do dwóch osób i że będzie mi tam dobrze. Powiedziałam żonie leśniczego, że brat pisał i że muszę jechać. Leśniczyna bardzo płakała. Ta praczka wzięła mnie do siebie na dwa dni. Wyspałam się pod pierzyną.

U tych państwa było mi bardzo dobrze. Były dwie osoby. Pani dawała mi pieniądze, rano szłam do miasta na prymarię, wracam, a tu pani zrobiła już kawę ze śmietanką, bułeczkę smaruje masłem śmietankowym. Pani gotowała, a ja byłam „do wszystkiego”. Przyzwyczałam się – dobrze mi było.



le Pani Starsza, jak znów zaszła w ciążę z Terenią – to niby z Panią – to co przejeżdżała przez Piotrków, to płakała i mówiła, że jak Natalia wróci, to ona się uspokoi. I Pan Starszy pojechał na Wygwizdów i prosił ciocię, żeby mnie przywiozła do Bobrownik znowu. I Wojtczyk też raz i drugi przyjeżdżał i mówił, że pani dziedziczka prosi, żebym pojechała. I mówiła Pani Starsza:

- Przyjechałam po ciebie i musisz moje dziecko jechać, bo jestem słaba i sama nie dojadę.

- A Ciocia pani powiedziała, że za mąż wychodzę...

Był tam zresztą taki wdowiec z Ciemiętnik, co to chciał się żenić.

To Pani Starsza powiedziała, że bardzo jej żal, że ja nie chcę pojechać, ale że jeżeli mam wyjść za mąż, to nie chce mi życia zawiązywać.

No, i pojechałam. Nijako mi było jechać, myślę: - jak ja wrócę?

Przyjechałam do Bobrownik. I byłam znowu do dzieci. Marychna miała już prawie cztery lata. A tu już Pani Starsza ma znowu mieć nowe dziecko. Przeniosłam się do salonu z Marychną, bo tam w pokoju od ogrodu było blisko do sypialnego. Więc przenieśli łóżka do salonu. I tu już znowu przyjeżdża doktor Masłowski z Przedborza i akuszerka Habisiewicz z Wielgomłyny.

Dziecko – to niby Pani – urodziło się też o szóstej rano. I znowu Pan Dziędzic przychodzi do salonu i mówi:

- Mamę drugą panienkę!

Akuszerka wykąpała dziecko, zawinęła, a potem już od pierwszej godziny ja byłam z dzieckiem w małym pokoju, a Marychny łóżeczko przeniosło się do sypialnego. A taka pani była malusinka, że nawet w beciku nie było widać. I co pięć minut lała pani w pieluszki i tak całą noc. Dopiero rano sobie nogi zagrzałam.... I tak to dotąd z panią się tak morduję, a pani mi ciągle skandaly robi, że niby kurze zetnę, czy coś.... Albo, że ciasto chcę piec, to pani mi nie daje. A przecież dla malutkiej Patrycji chce coś słodkiego, albo dla Joanny zrobić. A i pan Andrzej też lubi i mówi, że dobre.....

- A co to ja z panią miałam, jak pani już w Warszawie nie chciała chodzić, że niby nogi panią bolały. A przecież miała Pani już z sześć, czy siedem lat. To co miałam robić – nosiłam, a takie długie nogi pani wisiały, a ludzie wydziwiali, że takie duże dziecko noszę....

Ale wtedy, to jak się pani urodziła, to mówili że dziecko słabe i nie wiadomo czy się wychowa.... Tamte dzieci jak hamany, a pani była taka malusinka....



To już ja się panią zajmowałam i kąpałam i przewijałam ciągle. Bo Pani Starsza to strasznie była rozpieszczona.

Pan Starszy uwielbiał Panią Starszą, a Pani Starsza, to też za Panem Starszym oczy wypatrywała. Jak kiedy Pan Starszy pojechał do Rączek, czy do Kluczewska i tam się do kogoś uśmiechnął, to Pani Starsza zaraz mówiła:
- Józieczku, już ty mi tylko tego nie rób...

W domu to Pani Starsza dużo nie robiła. Panna Antonina szyła i bardzo ładnie szyła. Szyła dla chłopców fartuszki i inne rzeczy. Bieliznę dla dzieci przysyłała pani Kozieli Poklewska, niby matka Pani Starszej. Szyli też pościel – bardzo wspinała – webowe czy z madapolamu. Koszule nocne to były haftowane i wykańczane mereszkami. Bieliznę prali raz na miesiąc, czy raz na kwartał – tyle tego było. Prały dwórki z czeladnej kuchni. A Dorota pilnowała. Magiel był w wozowni.

Szlafroki i inne rzeczy Pani Starszej to szyła krawcowa z Kielc, co to w Kluczewsku była i pani Konarska przysyłała ją do Bobrownik na dwa czy trzy tygodnie. Szlafroczyki były różne – tło białe w jakieś różyczki czy inne. Pani Starsza do obiadu chodziła w dwa warkocze spuszczone, siedziała sobie pod kasztanem czy pod gruszą. Na drugie śniadanie kucharka piekła placki na blasze, z masłem. A do obiadu Pani Starsza ładnie się ubierała. Chłopcy do obiadu siadali razem, ale śniadania i kolacje jedli w pokoju pani Antoniny. W tym pokoju od ganku. Była w kubeczkach kawa mleczna, polędwica wieprzowa na chlebie, a chleba – to zjadali chłopcy po kilkanaście kawałków. Tadzio, to zawsze najpierw jadł, a potem dopiero pił kawę.

W oficynie mieszkał nauczyciel z Radomia, co to uczył chłopców. Antoś spał w łódeczku, w pokoju pani Antoniny i taki był, co to nikogo nie uważał, tylko pannę Antoninę – ani Pana Dziedzica, ani Pani Dziedziczki, tylko ciągle wołał: „Toniusiu!” A pani Antonina, jak tylko ktoś krzyczał na Antosia, to mówiła:
- Co też oni chcą od tego dziecka?!

A potem panna Antonina wyszła za tego nauczyciela z Radomia – ślub był w Radomiu. A przedtem to jeszcze był panna Zofia, była chrzestną matką Antosia, niby uczyła też języka chłopców. Groźna baba była. Pamiętam, jak byłam przy pani doktorowej² i dostałam dyfterytu i leżałam w garderobie, to panna Zofia jak przechodziła, to tylko ręce podnosiła do góry, żeby się nie zarazić. A potem wyjechała do Kielc i wyszła za męża.

Chłopcy byli dla mnie dobrzy, nie mogę powiedzieć. Tylko jak byłam przy dziecku, to jest niby przy pani, to nieraz brałam z szafy jakąś książkę i pani pokazywałam, a pani to tylko trzask, trzask i już karta była wydarta. Jak chłopcy nie widzieli, to schowałam, książkę przekręciłam, ale jak widzieli, to skarżyli zmierzony do Pana Dziedzica, a Pan Starszy powiedział, że to nie dziecko, tylko ja powinnam dostać w skórę. Że to niby jakieś tam wartościowe książki były....

² Marychna - wyszła za męża tuż przed wojną za lekarza – dr Edwarda Fitkau



Chłopcy bawili się w kancelarii i na dworze do w pół do ósmej, to nieraz opowiadałam im bajki, bo bardzo lubili słuchać, ale potem przychodziła Józia po chłopców. W kredensie była woda ciepła i wanna, to chłopcy nogi myli i całe. Józia ich myła. A pani i pani doktorowa to były kąpane w małym pokoju. To była wtedy mycie, kąpanie, pudrowanie, przebieranie i dopiero do spania. Pokój musiał być przewietrzony. Kolacja, mycie i do

łóżka. Wtedy ja szłam na drugą stronę domu. Dla młodszych dzieci było inne jedzenie, a dla chłopców panna Antonina przygotowywała kotlety z kury, czy co innego. Obiad był o w pół do dwunastej dla nas, a chłopcy w stołowym o dwunastej. Pani Starsza ubierała się bardzo wspaniale do obiadu – kokardka, broszka.... Pan Starszy przychodził dopiero jak zadzwonili na południe, mył ręce i zaraz Dorota podawała obiad.

Z początku to gotowała moja ciocia, a potem kucharka z Rudki. Były zawsze dwa mięsa, najczęściej kurczęta. My z Dorotą jadłyśmy zawsze to samo co państwo. Kucharki się kłóciły, że i pokojowa, i do dzieci jedzą to samo, a w Kluczewsku nawet lokaj i kucharz nie jadł tego. Było okrzyknięte, że pani nas rozpuszcza. Panna Antonina dzieliła, a jakby kiedy było mało, to można było dogotować coś. Jedzenia to już miałyśmy do syta!...

Na podwieczorek było nakryte, samowar stał na takim stoliku - pod spodem taca, a na tym samowar. Wszystko było zastawione, śmietanka stała w dzbanku. Pan Starszy na śniadanie jadł zawsze kluski lane na mleku, a na kolację zsiadłe mleko i kartofle, czasem żurek ze śmietaną i kartofle ze słoninką. Chłopcy też jedli to samo i jeszcze coś. Ja dopiero szłam na kolację, kiedy dziecko, to niby pani, usnęło. Jak kucharka nie była na mnie zła, to wstawiała mi wszystko do piecyka.

My obie z Dorotą chodziłyśmy jednakowo ubrane – szyła nam ciocia Dorotki i spódniczki i bluzki. Pani Starsza przeciwna była temu, żeby nie było dekoltów, tylko chodziłyśmy w sukienkach z kołnierzykami. Wszystko musiało być czyste i ukrochmalone, to i wyglądałyśmy jak z igły.

Przyjechała potem do Bobrownik panna Fryda, niby Niemka. Najpierw to była jej siostra Lota, ale potem poszła się uczyć, a na jej miejsce przyszła Fryda. Rozumiała, a potem to nawet już mówiła po polsku, ale Pani Starsza chciała, żeby nie mówiła po polsku, żeby dzieci uczyły się języka. Panna Fryda miała dwadzieścia cztery lata. Kochał się w niej nauczyciel, Kusiński. On uczył w szkole, co to ją Pan Starszy dla dzieci wiejskich założył. Bo to dzieci przedtem chodziły do szkoły siedem kilometrów, do Dobromierza, a zimą to sobie nogi i ręce odmrażały.... To Pan Starszy jeździł, jeździł i w końcu dali taki papier, że szkołę można założyć. Kusiński, to ten co był nauczycielem, to mieszkał na wsi, a PN Starszy opłacał go. Dużo Pan Dziedzic na tę szkołę wypłacał, a i pilnował sam czy dzieci się dobrze uczą i chodził ich przepytować. I chłopców bobrowskich to Pan Starszy uczył jak to powinni gospodarować i takie lekcje dla nich miał – i o zbożu, i o bydłe, i o wszystkim. Dużo dobrego z tego dla nich było, bo to naród ciemny był i byle co siał, a potem na przednówku to nic nie mieli i do dworu przychodzili. Pan Starszy im musiał i zboże na chleb dawać, a jak nie mieli czym siał, to też dawał. Dobry pan był....

Pan Czech przyjechał na trzy miesiące na wakacje i uczył chłopców. Płacony był i oprany był i życie miał dobre i był u nas na świeżym powietrzu. Był studentem i bardzo był uczony. Uczył wszystkich czterech chłopców. A przedtem to był taki nauczyciel z Radomia, co to Janek w niego kałamarzem cisnął. Straszna heca była! Pani Starsza skandaly robiła, gniewała się na Pana Starszego, że Janka i Tadzia zbił. Dostali bicie! Nie chcieli się uczyć, tylko siadali na kuce i uciekali, i nie można ich było znaleźć. Wszyscy czterej mieli swoje kuce. Jerzyk to miał taką karą kuckę, co to ją dla Marychny kupili, ale potem za jakiegoś cukierka, czy czekoladę Jerzykowi ją oddała. Bo to takie głupie było.....

A my z dziećmi jeździliśmy do lasu linijką. Powoził Tadzio. A wtedy przy koniach cugowych był Marecki, jeszcze foszman z Mniszkowa – ulubiony, poważany, wypasiony – wszystko mu było wolno! Hardus był!

Pan Czech uczył chłopców. Kiedyś się jakoś zgadało i Pan Starszy mówi tak, że może by pan Czech mógł uczyć Dorotę i mnie. On powiedział, że bardzo chętnie. I myśmy chodziły. Czytałyśmy książki – „Mały Jezus”, „Królowa Niebios” i inne, a potem to pisałyśmy dyktanda. Jak ja czytałam to Dorota musiała opowiadać. Było tak pięć czy sześć tygodni. I później Pan Starszy myślał, że Dorota będzie zdolniejsza, bo to niby córka pana Konarskiego, świeć Panie nad jego duszą. I pytał pana Czecha, kto się lepiej uczy, a pan Czech na to, że Natała lepiej, że Natała płynnie czyta. No, to Dorota się obraziła i nie chciała dalej chodzić. A ja chodziłam i dostawałam coraz to trudniejsze dyktanda.... I dostawałam i cztery i pięć... Poszłam raz i znowu jeszcze raz. Ale kiedyś pan Czech dyktuje, że....ale siedział daleko, na tapczanie! – tak jakoś powiedział:

- Piec rozpalony do dziewczyny.....

To ja mówię, że nie chcę i nie będę tego pisać. I na tym się skończyło. A gdybym jeszcze ze trzy miesiące pochodziła, to bym się dużo nauczyła.... A pan Czech był bardzo przystojny i wesoły.... Jak my kiedyś z Dorotą wyszły, to on się ubrał za dziewczynę. Bardzo ładnie wyglądał!

A po wakacjach to był taki, co to potem był z nami na Litwie. Ale to ciapcia był! Duchami straszyliśmy go, ale potem on się zmiarkował.

A POTEM BYŁA WOJNA.....

Niemcy szli, a Rosjanie byli tu. Pani Starsza nic, tylko mówiła:

- Józieczku, wyjedźmy, wyjedźmy.....

I tak stale. Kluczewsko nie wyjechało, Rączki też nie, tylko Stanowiska. A ci co wyjechali, to źle zrobili, bo wszystko zabrali dlatego. W Bobrownikach na gospodarstwie został Szołowski, co to miał wtedy osiemnaście lat. Miał potem wyżej się uczyć, bo skończył dopiero szkołę. I została też Habisiewicz z Wielgomłyny, akuszerka. To ona opiekowała się domem. A Jak Niemcy wyszli, to wszystko pozabierali – obrusy, bieliznę. Krowy – tylko sześć krów zostało. A krowy w Bobrownikach to były jak hamany... Karbowym był wtedy Wojtczyk, i był gajowy, co to go potem kamienie przycisnęły.

W

yjechaliśmy końmi. Poszły cugowe i fornalskie. Cugowymi jechał Michał Marecki.



I pan i pani, czterech chłopców, dwoje dzieci, panna Fryda, korepetytor, Dorota i ja. Przyjechaliśmy najpierw do Radomia i odpoczywaliśmy u pani Pomorskiej, co to przedtem miał się Pan Starszy z nią żenić. Gabriela jej było. Pani z Lipnika, matka Pana starszego, to wołała Panią Starszą, chociaż tam dwie ładne córki były. A potem to tamta pani bardzo dobra gospodyni była. To może szkoda, że się Pan Starszy z tą Gabrielą nie ożenił, bo gospodyni była dobra, a może nie byłoby potem takiego zamętu i nieszczęścia....

Za dwa dni byliśmy w Radomiu, a potem taką małą kolejką, pamiętam, dojechaliśmy do Warszawy. W Warszawie byliśmy u państwa Klawer, co to ta pani matką chrzestną pani była, chociaż to wtedy starsza ta pani była. Takie oboje starych chrzestnych pani dali, bo to i ten pan Bzowski z Kielc, to też już staruszek wielki był. Mówili, że to on jeszcze w jakimś powstaniu, czy czymś takim był. Przez tydzień bawiliśmy u tych państwa Klewer na Erewańskiej. Wielkie mieszkanie państwo Klawer mieli i bardzo wspaniałe. Pokoje takie wielgachne były... i służące były i

dwoje państwa. Pani Heli wtedy nie było, bo akurat za mąż wyszła. Podobno to bardzo bogaty był ten jej mąż. A mieli potem dwoje dzieci – dziewczynkę, a potem chłopca – Tadzio chyba mu było.... Bardzo zacni i dobrzy ludzie oboje byli. A pan Klawer to bardzo ładnie grał na fortepianie.

A potem wyjeżdżaliśmy samochodem, takimi wielkimi platformami ciężarowymi. Pani Starsza dobrze mówiła po niemiecku. A my uciekaliśmy przed wojną, to i dawali nam jechać, bo tam byli Rosjanie (?)... A potem to zatrzymaliśmy się koło Słonimia u państwa Tyszkiewiczów, co ta pani była jakąś ciotką Pani Starszej. Nazywało się to chyba Jagnieszyce, czy coś takiego.... Ale najpierw to byliśmy w Nowojelni. Dzieci były pomęczone, to żołnierze naleli zupy i wszyscyśmy jedli. Pani Starsza prosiła o jakiś pokój i oficerowie – grzeczni jacyś – ustąpili swój materac i dali nam, ale to tylko głowy mieliśmy na materacach, a tak to na podłodze. Dzieci wymiotowały. O praniu wcale nie było mowy.

A potem jedziemy dalej. Pani posłała depeszę do Łopusznej, żeby przysłali do Nowogródka konie. No i wysłali te konie. Była tam już pani Patocka – niby siostra Pani Starszej – z Krysią i Zbytkiem. Pan Patocki, co był doktorem, to był w jakimś szpitalu. Przy dzieciach pani Potockiej to była taka Julcia, co wyszła za mąż na Litwie, bardzo dobrze.

Jak zajechaliśmy do Łopusznej to dali nam oficynę – pięć pokoi, a kuchnia szósta. Dzieci się umyło i do łóżek. Pani Jodko Narkiewicz ładnie nas przyjęła, ale powiedziała:

- U nas i lokaj i kucharz jedzą w czeladnej kuchni i dla twoich dziewcząt nie będę wyróżnienia robić.

Jedzenie z pałacu przynosili, a panna Fryda robiła w kuchni wszystko dla małych dzieci. Pan Starszy i Pani Starsza razem z korepetytorem jedli w pałacu. Dla dzieci przysyłali całe wielkie pudła takich bułeczek posypywanych cukrem, żeby było od soboty, do soboty. A dla chłopaków przynosili całe półmiski mięsa i trzecie, albo sago, albo kisiel, no i zupę. Chłopcy to nawet połowy nie mogli zjeść, bo to tłuste i cebulaste. I my z Dorotą jadłyśmy i jeszcze zostawało. Tośmy w krzaki resztę wyrzucały, aż się wszystkie psy złatały. Potem, to już oddawałyśmy to jednej kobiecie. A komisarz, czyli taki karbowy, myślał, że my jesteśmy głodni, a myśmy mieli wszystkiego za dużo i zjeść nie można było. Tam na dwóch parobków biło się jedną dużą świnię co trzy miesiące, czy może i na dwa, to oni tam ciągle wędzą szynki, polędwice, kielbasy i wszystko. To żona komisarza przyniosła nam całe pęta kielbasy, śmietanę i bliny w niedzielę. A do blinów to była słonina rozpuszczona na spodeczku, a na drugim spodeczku śmietana. A pani Jodko – niech jej Pan Bóg wszystko da, bo już na Boskim Sądzie – to mówiła:

- Co te twoje dziewczyny jedzą, kiedy wcale na obiady nie przychodzą?

Pani Starsza mówiła, że nie mogą jeść, bo nie mają apetytu, a my się śmiały, bo miałyśmy wszystkiego za dużo. Jedna kobieta przynosiła jajka po groszu. Pani Starsza robiła nam jajecznicę z sześciu, czy ośmiu jaj z chlebem, a bardzo dobry był tam chleb razowy. I te bułeczki dla dziewczynek – bardzo dobre! Chociaż tak jadłyśmy, jadłyśmy, aleśmy mizernie wyglądały...

Córka państwa Jodko, Terenia, umarła i oni byli nie do pocieszenia. Ona poszła kąpać się do łaźni i potem umarła. Była już dorosła, studentka, malowała portrety i obrazy do kościoła. Na kościół to państwo Jodko dawali bardzo dużo. To jak ona przyszła z tej kąpieli, to mówi, że głowa ją boli. To rozesłali po doktorów konie na wszystkie strony, ale i tak po paru dniach życie zakończyła. Była straszna rozpacz!! Pan Jodko zdjął krzyż ze ściany i mówi do pani:
- Masz przykład – Matka Boska też miała jedyne Syna i na męki go wydała, więc się uspokój...

No i została pochowana w kaplicy w ogrodzie, od pałacu było chyba kilometr. Były tam wysadzone drzewa zagraniczne w rząd, słupy z kamienia i taki łańcuch gruby... i były klomby i kwiaty rozmaite... Jak się skręcało z tej alei, to była figura świętej Teresy i żywy płotek i było napisane coś takiego: „Nic dla mojej duszy, tylko Bóg”. Co miesiąc przyjeżdżał ksiądz i odprawiał. A ona była pochowana pod kaplicą, a przy tej kaplicy ona była wyrzeźbiona i patrzy na pałac.... W pałacu była tam weranda, to oni sobie na niej siedzieli i patrzyli. A jak przyszła rocznica śmierci, to na dziedzińcu miała być taka cisza, że nie wiem. Jak dziecko zapłakało, to pani Jodko była bardzo niezadowolona. Byli niepocieszeni... A że ich córce było Terenia, tośmy do pani mówili Martusia, żeby to nie przypominać im o córce....

Państwo Jodko byli dobrzy, ale obliczalni. Mięsa nie kupowali tylko rżli i pod pałacem była piwnica, a w niej wszystkiego mięsa i innych rzeczy bardzo dużo!

Przez dziesięć czy ileś tam miesięcy to było spokojnie, ale w jedenastym zaczął się niepokój. Jak przyjechaliśmy, to byliśmy pod Rosją, bo oni zmierzoty zawsze takie byli.... To była gubernia Mińska, a Nowogródek to był tak jak u nas Dobromierz – poczta.

A w Łopusznej to rządcę nazywali komisarzem, a karbowego to jakoś tam inaczej. Pracujące dziewczyny nazywali dziewczkami. I był taki stary, co pasł żrebaki, a było ich bardzo dużo. Wilki podchodziły, to trzeba było pilnować. Były tam też osły. Jednemu to wilk wyjadł cały zadek, potem miał zarośnięty, ale jeden wyższy miał, a drugi wyższy. I był taki, co go nazywali „staryńki” i pilnował przed wilkami żrebaków i owiec. I była taka, co była przy świniach, a świń było bardzo dużo! I Stareńki i ogrodnik to byli na stole, a ogrodnik był w takim baraku. Tam mieszkał. A tam to były w mieszkaniach prycze na takich kółkach, nie było niczym nakryte, tylko poduszka i słoma. Chodziłyśmy tam czasem z Dorotką do krawcowej, co to jej brat był kowalem.



Kaplica to była w lasku, takim w ogrodzie. Chyba były modrzewie, a o kilometr był wielki las. Tam nie krzesali lasu, jak u nas, tylko jeżyny, trzęsawy.... I straszne były zarościa.... I w tym lesie było dużo wilków. Kiedyś szłam i na rękę miałam panią, a Marychna była przy mnie, a chłopcy biegali z takimi wielkimi pikami.... Zmierzony zawsze nieznośne były i słuchać nikogo nie chciały.... I wyszłam na łąkę – dobrze, że karbowy był niedaleko, bo akurat siano grabili. To z tego modrzewiowego lasu wyleciało czterech wilków – leciały tak hopkiem – nie tak jak pies. Przeleciały z jednego lasu do drugiego. A w nocy to się podciągali blisko, jak widzieli konie. To i temu osłowi zadek wygrzyźli....

Mówili to tam całkiem inaczej. Nie mówili „prac”, tylko „pomyć”. Nie składali bielizny jak u nas, tylko jak z magła w takie wałki. Dorotka prała tylko dziecienną bieliznę, a ja już tylko przy dzieciach byłam.



Póki nie było wojska, to było spokojnie. Przyjeżdżał do państwa Jodko znajomy ksiądz z Warszawy – chyba ksiądz Sekulski się nazywał. Ślicznie odprawiał!... To jeszcze był znajomy ksiądz z Mniszkowa. W tej kaplicy ślicznie śpiewał. I my śpiewaliśmy pieśni. Jeszcze w maju, to dzwonili w kaplicy i wszyscy szli. Pani Jodko też, ale pan Jodko pracował jako urzędnik, bardzo wysoki³. Zawsze końmi z Borysem wyjeżdżał. Były cztery, bardzo ładne cugowe konie. Upręż cała była tak wspaniała, konie miały takie medale....Wyjeżdżał codziennie. Do Nowogródka to było pewno... tak jak do Dobromierza z sześć czy siedem kilometrów. Borys nic nie robił, tylko był przy tych cugowych koniach i

jeździł z państwem. To i niejeden hrabia to nie miał tak dobrze, jak on miał tam u państwa Jodko... I w ogóle ludzie dobrze tam mieli.....

Wiem, że potem – cały ten niepokój zaczął się w jesieni. Śnieg przyleciał duży, jak przyszli Niemcy, a Osjanów odpchli. Bo Niemcy odpchli Osjanów. Weszli do pałacu i chcieli Pana Starszego wziąć na rozstrzał⁴, ale przyszli znowu Rosjani i nie zdążyli.

A potem był duży atak. Kozacy wjeżdżali. Nie bombardowali, tylko pociski były. Jak się bili, to my szli z oficyny do pałacu – do piwnicy. Kiedyś wszyscy poszli – a był straszny cios!! – Tak było że dwadzieścia cztery godziny – i leciał pocisk taki długi – jak stąd do kuchni chyba, a jak leciał, to aż rzegotało! Upadł w ogrodzie, koło oranżerii. A ja chciałam panią ubrać i wszyscy polecieci, a ja zostałam, to chustką się okryłam, a zaraz Pan Starszy po mnie wrócił, wziął mnie pod rękę i prowadził, a ja płakałam. A pani Jodko to nie lubiła jak ktoś płakał. A pani to była jeszcze malusinka i nic się na tym wszystkim nie rozumiała, to i dziecko się nie bało.

To myśmy siedzieli w piwnicy, a te kulki tak biły w ścianę.... A potem Rosjanów Niemcy znowu odpchli – przyszli oficerowie niemieccy, a panna Fryda się bała, bo Niemcy nie lubieli, żeby Niemcy u polskich pracowali. To się nie przyznawała, a nos miała podniesiony do góry i nic nie mówiła. Kiedyś poszłyśmy z Dorotką do studni – to było chyba w styczniu, czy w lutym.... A tam te wszystkie dziewczyny to były

³ Wuj Jodko Narkiewicz kończył szkołę Junkrów – był w Izbie Panów w Rosji – z wiadomości rodzinnych – przyp. T.K.

⁴ Ojciec, jako jedynak miał tzw. „biały bilet” i z wojska był zwolniony. – przyp. T.K.

takie usmotruchane, że strach było patrzeć. A my zawsze byłyśmy czyste i ładnie ubrane. To ci żołnierze niemieccy mówili”

- Skąd się takie białe wzięły przy tych czarnych?....

I nosili nam wodę. A my mówiły: „Danke sehr” – bo panna Fryda tak nas nauczyła. To oni mówili, że my umiemy mówić po niemiecku, tylko nie chcemy.

Potem Pani Starsza poszła po przepustki, że to my chcemy wracać do siebie. Oni dali przepustki. A oni nie przepuszczali brudnych, tylko czyste. I mówili, że białoruscy brudni, to by ich nie przepuścili. Białoruskim kazali się kąpać.

Pani Starsza dobrze mówiła po niemiecku. A był tam taki oficer, co to pomógł nam i mówił, że dzieci ładne i pani też. To i bardzo pomagał. Dali nam samochody, a potem pociągi. Wyjechaliśmy chyba w kwietniu, bo pamiętam, że to wiosna była. A przedtem jeszcze, to Pani Starsza wygadała się, że ma do dzieci Niemkę. A oni byli spragnieni, żeby z kimś mówić po niemiecku. Widzieli jak przenosiła kotka do pałacu. Szła tak elegancko ubrana. Spyтали:

- Gdzie mieszkasz?

A ona:

- Tam.

Bo nie chciała się przyznać, że jest Niemką. A wtedy, co to szła z jakimś obiadem do pałacu, to oni ją zaczepiali. Ale jak to się Pani Starsza wygadała, że ona jest Niemką, to wtedy oni przepraszaali ją, że jej ubliżyli. I po niemiecku mówili. I mówili jej, że oni są dobrzy chłopcy.



potem odjechali dalej na koniach. I jeszcze raz przyjechali i kłaniali się i robili nieraz jakąś robotę za nas. Ale nachalni nawet nie byli, nie można powiedzieć. Tym dziewczynom białoruskim, to kazali się, jak mówiłam myć, bo brudne. A potem, jak Niemcy odjechali, to mówiły, że szkoda, że już im się nie każą myć.... Ale brudasy to były okropne – domy słomą kryte, czarne, z drzewa, nie pobielone. Dla dzieci opałki pod sufitem i nic pod głowę. Że aż dzieci na głowie kółka takie miały wytarte. Dzieci to tak kobiety nosiły, jak cyganki. A gotowanie?!! W powszedni dzień, to wszyscy szli w pole. A kobieta zagotowała czajnik wody i wzięła razowy chleb przetrzynięty na połowę. I do tego wędlina – strasznie dużo tych wędlin jedli, bo były naprawdę bardzo dobre. I mieli tego dużo, bo wielka świnia dla dwóch parobków na trzy miesiące.....

Kiedyś się tak bardzo przelinkłam... byłam na werandzie w oficynie – taki zakręt był – patrzę... łuna. A tam jak świnie zbijają, to jej nie parzą, tylko się ją na takim wielkim ogniu opala. Dopiero potem skrobią nożami taką opieczoną skórę. Potem biorą nad staw, przekrajają na połowę, wnętrzności do wody, łeb na pół.. i robią szynki i takie kielbasy ... pyszne!!.. Bardzo dobre są te litewskie wędliny! Kartofle to nazywają „kartoflana kasza”. Na półmisek kładą taką górę kartofli, robią w środku dziurę i wlewają w te dziurę topioną słoninę – bardzo dużo. Bardzo to tłuste, chłopcy tego jeść nie chcieli, a my z Dorotką w krzaki wylewały. A ci białoruscy ludzie na wsi, to jak utłuką kartofle, to potem nawet tłuczka nie myją i powieszą A muchów tyle!... W pałacu to pani Jodko pilnowała, żeby było czysto, ale u siebie to robili, jak chcieli – to i było brudno. W niedzielę jedzą bliny z gryczaną kaszą. Robią w piecu chlebowym.

Borys Rosjan był, ale dobry. Napisał do takiego biura adresowego do Rosji i stamtąd przysłali adres mojego brata i siostry. Siostra to chciała, żebym do niej jechała, ale nie chciałam.

No więc – jak wyjechaliśmy – najpierw powozem i bryczki szły. Dojechaliśmy do stacji⁵ , potem samochodem ciężarowym, co to Niemcy przez tego głównego przydzielili dla tych ładnych dzieci i pani. Jechaliśmy kilkanaście godzin, mieliśmy szynki i różne rzeczy i to jedliśmy. Ale dzieci wymiotowały ... Przyjechaliśmy – chyba do Słoniami – i państwo poszli do jakichś tam starszych niemieckich, bo to był wojenny czas. Jak oni zobaczyli tę przepustkę od kogoś tego starszego, to salutowali bardzo i dali nam spokój. Potem odesłali nas ciężarówką do pociągu i dali salonkę. I już tym pociągiem przyjechaliśmy do Warszawy, do państwa Klawer. Tam byliśmy dwa czy trzy dni, bo dzieci były po tej drodze chore, to tam odpoczywały sobie, na tej Erewańskiej. Bardzo zacni ludzie byli ci państwo Klawer.

⁵ Nowojelna - przyp. T.K.

Potem znowu do pociągu – i tak przyjechaliśmy do Kielc, do cioci Brońcie, co to później opiekowała się dziećmi jak w Warszawie były, ale krótko, bo to sobie rady dać ze zmierzotami nie mogła. Ale i ona też fanaberie miała i zazdrosna była, co to dzieci wolą minie jak ją... Ale to było potem. A z Kielc, to już pociągiem pojechaliśmy do Włoszczowy, a ze stacji dorożkami do księdza, co to później był w Kurzelowie⁶. Tak jak my przyjechaliśmy, to zaraz był obiad, a potem ksiądz posłał na wieś kościelnego po podwody. I zjednał trzy podwody wiejskie. Podjechali, włożyło się wszystkie rzeczy, wsiedliśmy i pojechali. A potem to już prosto do Kluczewska.

Ksiądz we Włoszczowe to opowiadał, że w Bobrownikach mówili już, że Pana Starszego i wszystkich w czasie wojny zabili i że już nie wrócimy. Wojtczyk wypędził Szołowskiego i zabrał klucze do spichrza. Bo ksiądz był w Bobrownikach, jak nas nie było i stąd to wszystko wiedział.

Jak myśmy przyjechali do Kluczewska to już była noc. To te wiejskie podwody jak zaturkotały na dziedzińcu, to pan Konarski kazał głośno lokajowi – Antoni było mu na imię:

- Antoni, zobacz no, kto tak się tłucze po nocy, to pewnie te cholerne Żydy!

A był deszcz i psy były puszczane i szczekały koło nas. No, i z tych wózków wiejskich wychodzi Pan Starszy i Pani Starsza.



Pani Konarska strasznie się ucieszyła, bo już słyszała też, że coś się z nami stało, a że

to z Panią Starszą była w wielkiej przyjaźni – jeszcze jak dziewczynkami były. Pani Konarska, jak była panienką jeszcze, to w Radomiu mieszkała – bardzo to zamożni ludzie byli! A Pani Starsza wtedy była w Mniszkowie zanim za mąż wyszła i tak sobie do siebie jeździły.

Pani Konarska zaraz zaczęła szykować pokoje, przynosić herbatę. Ja byłam przy dzieciach i zaraz mi przynieśli jedzenie. Dorotka poszła do ciotki, co to w Kluczewsku mieszkała. A ja byłam we dworze.

⁶ Ks. Rzepczyński – przyp. T.K.

Na drugi dzień rano Pan Diedzic pojechał do Bobrownik. Wychodzi Wojtczyk, a Pan Starszy mówi:

- No, widzicie, wisielczuch przyjechał! Bo to mówili, że wszystkich zabili i że już nie wrócimy. A właśnie, żeśmy wrócili!

Zobaczył Pan Starszy, że mało co zostało. Z takich pięknych krów, to chyba tylko parę zostało, a resztę zabrali. I duża znista (?) była przez ten czas. Bo to w ogóle źle się zrobiło, że się wyjechało, bo jak nikogo nie było, to Niemcy wszystko zabierali, bydlę rzli jak sami chcieli. To tylko Pani Starsza tak naciągała Pana Diedzica na ten wyjazd i źle zrobiła. Bo ci co zostali, to lepiej zrobili i nic im nie zabrali, tylko trochę. A jak kto wyjechał to się mścili.

A teraz to jeszcze powiem jak to było z tym powrotem do Bobrownik, bo jeszcze wszystkiego nie powiedziałam. Więc to tak było, że w Bobrownikach już wiedzieli, żeśmy wrócili, bo już tam powiedział pachciarz z Bobrownik, co to właśnie był u swego brata w Kluczewsku, tej nocy cośmy przyjechali. To tam byli w strachu co będzie, bo jak nas nie było, a pan Szołowski pilnował wszystkiego, to Wojtczyk, jak się dowiedział, że nas wszystkich wymordowali, to klucze mu zabrał, a jego wyrzucił. I on wtedy pojechał do Ciemiętnik, ale jeszcze przedtem pojechał do księdza Rzepczyńskiego do Włoszczowy i powiedział, co to się tam narobiło. Wtedy ksiądz Rzepczyński przyjechał do Bobrownik i powiedział:

- A co żeście zrobili najlepszego?

A oni, że nas – czyli państwa wymordowali i że oni teraz będą się dzielić. To teraz jak się dowiedzieli, że państwo wrócili, to całkiem pobaranieli. A najwięcej ten Wojtczyk. A inni to się bardzo cieszyli, bo poważali bardzo Pana Diedzica i że to do wszystkich byli przyzwyczajeni – i do państwa i do dzieci. Bo to i zawsze jakąś pomoc mogli dostać i radę, a tak to nie.



w Bobrownikach to wszystko bardzo poniszczone było – i meble, i porcelana i pościel cała, bo to Niemcy rabowali i Ruscy też. Bo to wtedy taka kołyska była – raz ci, raz tamci. A każdy brał. Domu to niby pilnowała ta akuszerka z Wielgomłyny, Habisiewicz, ale i tak wszystko pozabierali, chociaż ona ich karmiła. A jak zostawili taki wielki obrus na dwadzieścia cztery osoby, to i tak ona potem ukradła. A Niemcy szli aż do Litwy, bo to przecież do Guberni Mińskiej doszli, jak my tam byliśmy. A potem znowu Ruscy przyszli i byli we dworze. I jak my już byli z powrotem, to też jeszcze ta kołyska była. Kiedyś pamiętam, to akurat Ruscy byli i Pan Dziedzic grał na fortepianie „Wołga, Wołga”, a oni śpiewali. Nawet bardzo ładnie oni śpiewali i na głosy. Ale chyba wszystkiego się bali, bo jak kiedyś na święta kował przebrał się za świętego Mikołaja – niby tak dla dzieci – to jeden tak się spierzyl, bo myślał, że to jakiś podstęp. I o mało co kowala nie postrzelił, tylko Pan Starszy go za rękę złapał.



A dwóch to było takich starszych i w salonie mieszkali.

No, ale to było już potem. A jeszcze przedtem, jak myśmy wrócili, to tylko Pan Dziedzic był w Bobrownikach, a myśmy wszyscy parę tygodni w Kluczewsku mieszkali, bo to trzeba było wszystko odnowić, bo wielka znista była.

I panna Fryda dojeżdżała do Bobrownik, żeby pomóc doglądać tych, co tam we dworze robili. A nam w Kluczewsku to było dobrze. Pani Konarska to bardzo dobra była. Służba miała tam drugi stół, ale mnie to sama pani Konarska jedzenie do pokoju przynosiła.



Jak już wszystko było odnowione i przygotowane, to już wszyscy pojechalіśmy do Bobrownik. Dwórki przyjmowały chlebem i solą, była i Grzybkowa, i Dudkowa, i Leonowa, i Raczyńska, a także był Marecki, bo on żył i nadal był. On był wierny państwu, ale jak się chcieli dzielić to co on miał robić? I jak wszystko zabierali Niemcy, to też nie było co robić. Zostało tylko sześć krów i koni coś ze cztery, a resztę zabrali.

Jak wróciliśmy do Bobrownik, to pani już chyba na trzeci roczek szło⁷. Jeździliśmy sobie końmi na podwieczorek do Rączek, albo do Kluczewska. Ale zawsze tylko z małymi dziećmi, bo chłopcy to bujali sami i na podwieczorki nie chcieli jeździć.

⁷ Tereska była urodzona 10 marca 1914 roku



czasem to przyjeżdżała pani Konarska z Kluczevska w odwiedziny. A jak przyjeżdżała – to i pantofle z klamerkami miała, i pierścionki, i aż pachniało od niej i błyszczała – wspaniale i bogato była ubrana. Ładna to nie była, bo chuda była i wcale nic ani z przodu, ani z tyłu nie miała, i zęby miała duże, ale bardzo była mądra i powodzenie to miała duże podobno. A pan Konarski, to najpierw, podobno, to chciał się żenić panną Marysią Czaplicką, siostrą pani Laskowskiej ze Stanowisk. Przyjeżdżał do niej wolantem w cztery konie, ale ona ojca w rękę pocałowała i powiedziała, że nie chce za mąż iść. No to pan Konarski bardzo był zły i zaraz wyszedł na ganek i zawołał: - Borek, zajeżdżaj! I był bardzo zły.

A potem pojechał do Radomia i oświadczył się tam⁸. A matka pani Konarskiej, pani Fulde, to bardzo ładna była i elegancka! Ja pamiętam – takie buciki wysokie, sznurowane zamszowe nosiła i dużo pierścionków bardzo wspaniałych. A córkę to bardzo kochała i woziła ją po całym świecie. To i bardzo uczona była i mądra. I z panem Konarskim bardzo dobrze żyła i bardzo byli do siebie przyzwyczajeni.



Do Bobrownik przyjeżdżała i przywoziła ze sobą Stasia. Tak się to wtedy mówiło, że to będzie narzeczony Marychny, tak się to wszyscy prześmiewali. Ale Staś złał się w majtki i chłopcy śmieli się, że do narzeczonej przyjechał i w majtki się złał.

Pani Konarska przyjeżdżała czwórką wolantem. I czasem to wołała Borka i ja siadałam z dziewczynkami, a on obwoził nas aż pod Ciemiętniki. I wszyscy we wsi mówili, że tej Natalce to dobrze, bo że tak sobie wolantem jeździ! Ale ja miałam dużo pracy przy dzieciach, chociaż nie prałam, tylko mnie wszystko prali, bo ja byłam tylko do dzieci. W kościele byłam co trzy tygodnie, a czasem szłam na Wygwizdów, albo do Łapczynej Woli.

⁸ Z jej dziennika „nie flirtował”.....

Chłopcy to czasem niedobrzy byli. Najlepszy to był Jerzyk. A Tadzio to tak się śmiał: „Ha, ha, ha, ha!” – zmierzona, ja im bajki opowiadałam, a oni zmierzony skarżyli do Pana Dziedzica, że ja dziecku – niby pani – książki daję do zabawy.

Chłopcy uczyli się. Pan Szołowski ich przysposabiał do szkoły. Lubili go i nazywali jakoś tam – Paputek. Szołowski to nawet był miły i wesoły, taki sobie, ale nie był zły. Mnie to mówił tak:

- Pamiętaj Niańka, że jak się coś ze mną stanie, to żebyś się modliła. Przyszekasz? To i nie wymawiając, modlę się czasem, że to przecież przyszełam. A to wszystko co było to nie jego wina, bo on miał osiemnaście lat i głupie to było. Ale Pani Starsza się przyczepiła. Zaczęli wyjeżdżać do lasu na spacer i tak sobie rozmawiać po obiedzie.

A potem to Pani Starsza powiedziała Panu Starszemu:

- Józieczku, ja go bardzo Kocham!

A Pan Dziedzic to najpierw się śmiał, bo nigdy nie przypuszczał, żeby co miało być. Bo i nie można było przypuszczać – to on miał osiemnaście lat, a Pani Starsza trzydzieści osiem i miała sześcioro dzieci. Kobieta była już starsza, a on przecież lubił być z młodymi, że to i sam młody. A ona szalała. I mówiła, że nie chce nic więcej, tylko być z nim. To przyjeżdżała jego siostra, Różia. Pan Szołowski miał cztery siostry, jedna była za rządcą w Krzętowie. A ta druga, Różia, to dostała spłatę z Ciemiętnik i kupiła taki kawałek w Łączkowicach pod Przedborzem. A potem zakochała się w swoim foszmanie. A ten, co miał się z nią żenić, jak się o tym dowiedział, to się z jej młodszą siostrą ożenił. Proste ludzie to byli i wcale do państwa niepodobni. A ta Różia, to nie była taka zła – jak Pani Starsza mówiła, że jest zakochana, to ona mówiła, że takiego kochania nie chce znać. I wszyscy tak mówili i za tym stali, co też ona robi. A ona tylko:

- Niech piorę – mówi – niech drwa rąbię, byle z nim.

A w domu to przecież jak królowa chodziła, tylko warkocze sobie plotła i pod gruszą siedziała.... Potem to już i on też był zakochany. Z Bobrownik wyjechał i pojechał do Krzętowa. A jak jeździł nad rzeką z Ciemiętnik do Krzętowa, to tak się umówili, że jak on będzie jechał, to strzeli – że to niby jedzie. Kiedyś to się i od obiadu zerwała.

Pan Starszy to męki przechodził i całe noce nie spał, tylko pilnował. Pani Starsza sypiała wtedy w kancelarii, a chłopcy w oficynie, to tam duże dwa pokoje były. A Pani Starsza zupełnie już miała w głowie przewrócone, to Pan Starszy mówił:

- Wandziuniu, dam ci pieniądze, pojedź z ciotką na trzy lata za granicę, to ci wszystko przejdzie....

Aż klękał. A ona nie i nie.... To już nawet nie wiem co się wtedy działo – strach nawet mówić!..

Chłopcy to takie głupie barany były – że niby jak mamusi lepiej, to niech jedzie do Pamka. Lubili go, a przecież nic nie rozumieli, bo głupie to było. A jak ja mówiłam im:

- Co on wam robi, ten wasz Pamek? – to oni – rzuć ognia – na mnie.

No i w końcu Pani Starsza wyjechała. Pani to malusinka była i nic jeszcze nie rozumiała, ale Marychna to aż się wyla na kanapie i okropnie płakała, bo to dziecko spało w sypialnym i przyzwyczajone było. A ja z panią w drugim pokoju od ogrodu.



Jeszcze zanim Pani Starsza wyjechała, to wzięła mnie ze sobą i do apteczki mnie prowadzi, żebym to wiedziała, co w razie czego dzieciom dawać. I wtedy mi mówiła, że niby dzieci, to tylko ciebie Natalko kochają i ty nie masz męża i jesteś jak rezerwistka. Dzieci cię lubią to się nimi zajmiesz. A tu masz lekarstwa dla dzieci. To ja na to, że matka powinna być przy dzieciach i to jest matki prawo. A ona, że nie i nie, że dzieci mają dobrego ojca i ciebie – że niby mnie – ot, лихо opętało i poszła... I powiedziałam jej jeszcze, że gdybym nawet po cierniach miała iść, to bym poszła, żebym zrobiła tak, żeby do dzieci wróciła. Ale nic z tego – jak diabeł duszę opęta, to już nic nie można zrobić.

A potem to jeszcze Pan Starszy pieniądze jej posyłał i to dużo, żeby miała z czego żyć. Bo i z serca jej nie umiał wyrwać, choćby się to należało. To i majątek zadłużył, a potem to posag cały oddał i wszystkie rzeczy. A sam ciężko zachorował z tego wszystkiego, bo też to i za dużo było dla jednego człowieka.

Do Bobrownik przyjechała pani Maria Śliwińska, co to była nauczycielką Pani Starszej jeszcze w Mniszkowie i zajmowała się dziećmi. Ja byłam wciąż do małych dzieci i Dorota do pokoiów, ale potem za mąż za Bąka wyszła – czwórka koni do kościoła jechała i wolantem, że to we dworze była. Były jeszcze takie dwie panienki – panna Wacia i panna Natalcia – co pracowały przy kilimach, bo panna Śliwińska to robiła na takich wielkich warsztatach bardzo wspaniałe kilimy i one przy tym pracowały.

Potem chłopcy pojechali do szkół do Warszawy i Pan Starszy był z nimi. Do Bobrownik przyjeżdżał tylko, żeby dojrzeć wszystkiego. Mieszkali z chłopcami na Żurawiej. To był dom pani Konczakowskiej, siostry pana Klawera, co to jego żona, pani Klawerowa panią do chrztu trzymała. Zaczynała pani była.

Pani Starsza, to czasem widywała się z chłopcami jak przyjeżdżała do Warszawy, potem to do pani Marii Śliwińskiej, jak już do Warszawy wróciła. I raz była jak Jerzyk na tyfus zachorował i prosił, żeby przyjechała. A dzieci młodszych, to nie chciała widzieć, bo mówiła, że by jej serce pękło. Kiedyś Pan Starszy posłał mnie z listem na Nowowiejską do pani Koziell Poklewskiej – niby matki Pani Starszej. Powiedziała wtedy, że Pani Starsza jest właśnie w Warszawie i tak właśnie powiedziała, że jakby dzieci zobaczyła, to by jej serce pękło. To ja powiedziałam: - I powinno pęknąć! Bo ja, gdybym nawet pasierbów miała, to bym przysięgała i nigdy bym ich nie rzuciła!

To nawet i zła była pani Koziellowa na mnie, że ja niby tak mówię. Bo rodzina Pani Starszej, to też sobie dobrze od wszystkiego ręce umyła. Matka Pani Starszej to raz na rok, na Boże Narodzenie przychodziła i przynosiła dzieciom owoce i słodycze. A dzieci to zawsze Pan Starszy prowadził na Nowowiejską do babki. Ale pani Koziellowa to bardzo Pana Dziedzica poważała, bo i trudno było nie poważać. Braci Pani Starszej – Witolda i Zdzisia – to też to wszystko nie obchodziło. Tacy egoiści byli, nawet się nigdy dziećmi nie zainteresowali, co to ich siostra je porzuciła. A pani Patocka, siostra Pani Starszej, co za doktorem była, to tylko w swoje dzieci wpatrzona była. Chociaż prawdziwie, to jak dzieci chorowały, to doktor Patocki to zawsze przychodził – dobry człowiek był i mądry.

I tak to Pan Starszy się sam z dziećmi mordował. Dzieci musiały się uczyć, to Pan Starszy wydzierżawił Bobrowniki i wziął duże mieszkanie na pierwszym piętrze, co to sześć pokoi było. I wziął do Warszawy wszystkie dzieci i mnie też, bo kto by się dziećmi zajął i wszystkim?

Jak to wszystko było, to już nie pamiętam. Ale wiem, że wieczorem przyjechaliśmy do tej Warszawy. I wojna z bolszewikami wtedy była i Janek, taki malusinki i drobny do wojska poszedł, takiego dużego ogiera z Bobrownik mu dali, bo w takim konnym wojsku służył.

A potem to była do opieki nad dziećmi pani z Kielc, pani Brońcie, kuzynka Pana Starszego. Ona już w Bobrownikach jakiś czas była, a potem w Warszawie. Chłopcy to jej wcale nie słuchali, dziewczynki, chociaż małe, te żnie bardzo słuchały i wcale jej nie lubiły, tylko mnie. A ona mówiła, że ja dzieci bałamucę i cukierki im daję. Kiedyś w Bobrownikach straszna był heca, bo to niby chłopcy mieli iść spać, a oni nic sobie z tego nie robili, tylko poszli łapać raki w Stoczkach z łuczywem. Bo oni wcale nie nauczani byli słuchać i robili co chcieli. A pani to zaraz spazmów dostała, a oni się prześmiewali.

I na mnie zła była, że to niby dziewczynki mnie wolą od niej. A co tam mówić – przyzwyczajone do mnie były od małości i to ze wszystkim do mnie szły. A ja z nimi chodziłam do ogrodu na Nowogrodzkiej, czy do Łazienek....

Ale prawdziwie, to ta pani z Kielc to nie była przyjemna.... Ja miałam pracy bardzo dużo, bo to i ugotować, i uprać, i posprzątać. Choć to niby byłyśmy we dwie, bo i Mania była. Ale i tak dużo roboty było. A pani była wymagalna i fiumy miała duże. Jak z nią rachunki z całego dnia robiłam, to mi się oprzeć nie dała, że to niby szacunku dla niej nie mam. Stara panna była, to jej się wszystko nie podobało, a najwięcej to to, że dzieci mnie lubiły.

I oszczędna nie była i dużo pieniędzy na dom od Pana Starszego wyciągała i zawsze mówiła:

- Józieczku, bo ja potrzebuję na to i na to....

A przecież Pan Starszy też się mordował, żeby taki wielki dom utrzymać i nie miał dużo pieniędzy. Niby to na początku przychodziła z Bobrownik mąka, i kasze, i kartofle, wędliny i jabłka i inne rzeczy. Ale i tak trzeba było dużo kupować, a drożyzna wtedy to była wielka i pieniądz był nie wart.... I ubrać dzieci trzeba było, bo to na nich wszystko się paliło, a na pani to chyba najgorzej! Wszystko pani darła okropnie. A dom też był wielki. Przecież, chyba 10 czy 11 osób było na stole.

To Pan Starszy mówił:

- Moja Brońcie, skąd ja ci wezmę pieniędzy, jak ja nie mam. Trzeba bardziej oszczędzać....

To i tak było i było. Ale się obrażała i szlochy wielkie prawiała. I chyba chciała jechać do siebie. No i w końcu to tak się skończyło. Kiedyś przy obiedzie coś tam Antoś powiedział, a pani Brońcie dostała hysterii i spazmów i poleciała do pana Władysława, niby jej brata, co to odnajmował od Pana Starszego dwa pokoje i bardzo

się skarżyła. Że to dzieci jej nie szanują, a Pan Starszy nic na to, jeno jej tak jakoś powiedział:

- Moja Brońcie, ja swoich dzieci dla ciebie nie zabiję...

No i pojechała, a Pan Starszy to jeszcze dużo pieniędzy wydał na platformę, co to jej rzeczy do Kielc odwoziła.

Ja tam nie żałowałam, że sobie pojechała, bo i niespokój był z nią ciągle. Jak ja się po nieszpórach położyłam, to też tam coś mówiła. Albo, że na chór chodzę. Bo chodziłam do kościoła św. Aleksandra i śpiewałam w chórze. Bardzo ładnieśmy tam śpiewali i nawet po łacinie i na głosy też. A mnie Pan Starszy pozwolił chodzić i co ona miała do tego. I na prymarię chodziłam i na roraty, i na nieszpór też często. To ona mówiła, że to za dużo.

Potem, jak pani z Kielc wyjechała, to do panienek była taka panna Wąsowicz, co to miała z dziećmi po francusku rozmawiać i lekcji dopilnować i w domu też coś. Ale to wariatka była i tylko do łazienki ciągle z ręcznikiem biegała, a z dziećmi to nie lubiła być, tylko w swoim pokoju, że aż kiedyś Pan Starszy zrobił jej uwagę. To potem siedziała z dziećmi i na zegarek patrzała, kiedy to już pójdzie do siebie. Dzieci to nijakiego szacunku do niej nie miały i nie chciały jej słuchać, tylko się prześmiewały. Tylko do mnie i do mnie. To i w końcu Pan Starszy zobaczył, że nic z tego nie będzie i szkoda jej pieniędzy płacić. No i jej wymówił.

A potem, to już nikogo nie było. Bo też i chłopcy byli w Korpusie, a ja odprowadzałam dziewczynki do szkoły, czy na komplet i na spacer z nimi chodziłam.



Później to zaczęła przychodzić pani Skotnicka. Ona to chyba chciała się wydać za Pana Dziedzica, ale nic z tego! Ona z jednym mężem się rozwiodła, co to z nim miała jednego syna, a drugi mąż jej umarł i wdową została. Mieszkała na Brackiej, koło Placu Trzech Krzyży i prowadziła taka stancję dla chłopców, co to w Warszawie do szkoły chodzili, a ich rodzice na wsi mieszkali. I ona się nimi zajmowała.

To przychodziła i przychodziła, że to niby się dziewczynkami opiekowała. I przynosiła różne budynie, czy leguminy, a dzieci to wszystko przez okna wyrzucały, że aż strach był, żeby to komu na głowę nie zleciało. A

paskudne to wszystko było, że aż strach! Ale dzieci wyrzucały i ta, bo – mówią – po co nam to, mamy co potrzeba w domu i nie chcemy żadnych leguminek od nikogo. Bo i prawdziwie, przecież wszystko w domu było, bo i ciastko upiekłam i kisielek miały i kompot, to po co miał im kto przynosić!....

Kiedyś to jakoś wieczorem – cichutki dzwonek. Otwieram drzwi i wchodzi pani Skotnicka, że to niby chce dziewczynkom dobranoc powiedzieć. Ale nawet do gabinetu nie weszła. Pan Starszy to wiedział, że ja nie mam przyjaźni do pani Skotnickiej. Ale wtedy – zdawałam rachunek Panu Starszemu, bo zawsze wszystkie sprawunki dawałam do rachunku – i mówię, że pani Skotnicka przylepiła się do tego domu i że już w podwórku mówią, że ona pewnie chce się żenić z Panem Starszym.

A Pan Starszy powiedział mi coś tak:

- że moje dzieci miały jedną matkę, a teraz ja jestem i ojcem i matką i żenić się z nikim nie będę i że ta pani też tego wcale w głowie na pewno nie ma. Może i nie miała, ale po co ciągle do dzieci przychodziła?

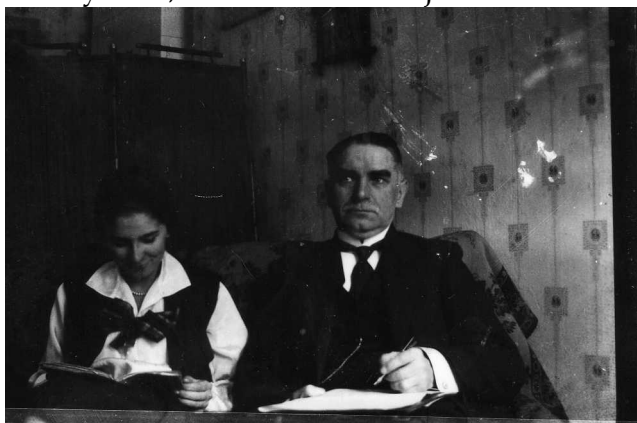


potem pani Skotnicka urządziła dla Marychny bal u siebie na Brackiej. A pani to był wtedy Rabce, a zresztą też jeszcze była za mała na bale! Więc był ten bal, byli tam uczniowie i studenci też.



A u pani Skotnickiej to była taka do pokoi – Lipińskiego córka – Aniela. Ona wszystko na ten bal szykowała, a potem i ona i ja podawałyśmy do stołu. A ta Aniela to była taka złośnica, że jak się zezłościła, to nożami na ziemię rzucała! A na tym balu to pani doktorowa – niby Marychna – to miała granatową, welwetową sukienkę, taka kloszową, co jak ona tańczyła to się rozwiewała.

Ale pani doktorowa, to już wtedy była rozkochana w Kociu. Miłość była straszna!.. Ale i jego matka⁹ i Pan Starszy namówili się, że to niby oni mają się uczyć, a nie o żadnych miłościach myśleć. A pani doktorowa przyszła do Pana Starszego i mówi, że przecież oni mogą się zaręczyć i dalej uczyć. Pan Starszy na to:
- Marychno, idź odrabiać lekcje!



Bo przecież w szkole jeszcze była i żadnych lat nie miała do tego. A pan Kocio, to taki był zły, że się starsi ujedniali, że podobno aż krzesłami rzucał.

Pani Skotnicka, to potem chciała, żeby jej syn ożenił się z Marychną. A on łajdus był i dużo starszy, a ona młoda była i z porządnego domu, a on jakiś

tam Węgier czy Cygan.... Nawet przystojny to on był..... Marychna to sobie do głowy wzięła i zawróciła sobie głowę tym złodziejem.... I znowu poszła do Pana Dziedzica i coś tam o tym mówi, a Pan Starszy znowu ją posłał, żeby lekcje odrabiała, i żadnych miłościach nie myślała i żeby wybiła sobie z głowy jakieś małżeństwo, bo jest za młoda, a i ten syn pani Skotnickiej to nie jest taki człowiek, żeby za niego za mąż wychodzić. A chłopcy się prześmiewali z Marychny i mieli rację, bo to i sensu żadnego nie miało. A potem to jakoś tak było, że pan Jan wywiózł ją na jakąś zabawę czy bal i ona tam zaraz o tym Jurku zapomniała i skończył się niepokój.

⁹ Pani Skotnicka



A pani wtedy to chyba dwa lata w Rabce była, że to niby dziecko było wątłe i chorowite i doktor kazał, żeby jechało w góry. I chociaż tam niby dobrze dziecko miało, to ja się martwiłam bardzo i płakałam, że daleko od domu i tylko na święta przyjeżdżało. Miejsca sobie znaleźć nie mogłam.....



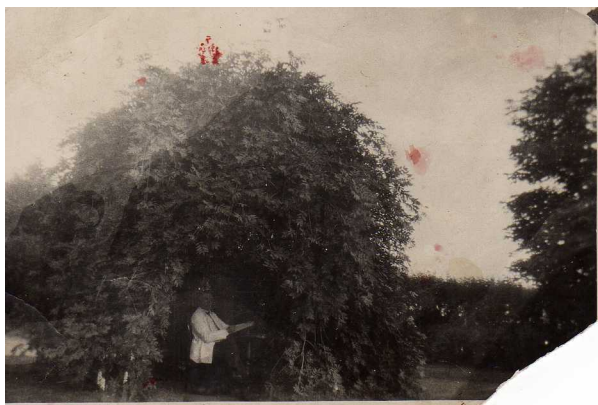
Na wołowej skórze by nie spisał, jak to wszystko było.....

A teraz.... To już wszystko opowiedziałam i więcej niech mnie pani nie namawia, bo nic więcej nie opowiem..... Co to zapisywać to głupie gadanie..... I tak to nikomu na nic....

Spisywałam w okresie 1970 -1972. T.K.

POSŁOWIE

Niania opowiadała, mama spisywała, a teraz nadeszła moja kolej. Niania była, odkąd pamiętam. Nie zajmowała się mną we wczesnym dzieciństwie.



Opiekowała się w Bobrownikach w czasie okupacji dziećmi wuja Jerzyka – Alisją i Markiem, a także ciężko chorym dziadkiem. Lubiał czytać w altanie.

W Bobrownikach panował niepodzielnie wuj Antek. Zarządzał majątkiem znakomicie, ale Niania tego okresu nie wspominała najlepiej. Oczywiście bardzo kochała dzieci Jerzyka. Karmiła je mlekiem swojej własnej krowy.



Ich ojciec był pilotem w Dywizjonie 305. Latał na myśliwcach i z upodobaniem zrzucał bomby na niemieckie miasta – za Polskę. Został zestrzelony nad Bremą i pochowany z honorami na tamtejszym cmentarzu. Do końca pisał listy do swojej ukochanej żony Soni i dzieci. Listy zachowały się. Jego koledzy z dywizjonu przekazali je rodzinie po wojnie.

Historia zmiotła a powierzchnię ziemi polskiej ziemiańskie majątki. Kiedy weszli Rosjanie, Bobrowniki trzeba było opuścić, zostawiając wszystko. Dziadek dokonał życia jeszcze tam i został pochowany na cmentarzu w Stanowiskach. Była z nim do końca Niania. Robiła opatrunki, karmiła, dbała w miarę swoich możliwości o jego

potrzeby. Odwiedzała też dziadka w jego ostatnich chwilach żona Wanda. Mieszkała ze swoim Pamutkiem tuż obok w Ciemiętnikach. Kiedy dziadek zamknął oczy, stary XVII wieczny, modrzewiowy dwór w Bobrownikach chłopci rozebrali natychmiast. Została jedynie oficyna.

Kiedy moja rodzina znalazła się po wojnie na Wybrzeżu, mama wezwała swoją Nianię. Mieliśmy piękne mieszkanie w górnym Sopocie. Niania miała swój pokój, niedaleko kuchni. Niedługo pojawiła się też Babcia, matka mojego ojca. Wróciła ze Szwecji, gdzie znalazła się po wyzwoleniu niemieckiego koncentracyjnego obozu dla kobiet w Ravensbruck.

Odtąd było nas sześcioro – pięć kobiet i Tata. Mama, Babcia, Niania, moja starsza siostra Anka i ja, Joanna. Moim domem była Babcia i Niania. Były zawsze obecne, zawsze dostępne, zawsze kochające. Niania nie była zadowolona, że jest rok starsza od Babci. Niania królowała w kuchni. Gotowała wspaniałe obiady, szykowała tradycyjne potrawy świąteczne – jak w Bobrownikach. Byłam jej ukochanym dzieckiem ... i Babci też. Anka była już starsza, chodziła do szkoły, na rytmikę, grała na fortepianie – miała już swoich przyjaciół i własne życie. Ja biegałam z Babcią na dalekie spacer, gadałam w kuchni z Nianią, choć często mówiła: „Idź już zmierzoto z kuchni i nie przeszkadzaj”, ale w głosie jej zawsze była czułość. Potrafiła być groźna. Biednych świadków Jehowy omal nie zrzuciła ze schodów, kiedy próbowali ją nawracać na swoją wiarę. Kiedyś tarła chrzan. Miska była już pełna. Spytałam Niani co robi. „Trę chrzan na święta”. „A co to jest chrzan” drażylałam nieubłagane. Zniecierpliwiona Niania podsunęła mi miskę pod nos mówiąc: „Powąchaj, to się dowiesz”. Zaciągnęłam się z całej siły i oczy prawie wyszły mi z orbit.....

Życie sopockie było wygodne, zasobne i bezpieczne. Tata miał własną firmę.



Mama pracowała w sopockim oddziale Banku Narodowego.



I było morze i złota plaża z wiklinowymi plażowymi koszami. W lecie zjeżdżało mnóstwo gości. Niania obsługiwała całe towarzystwo i gotowała ogromne ilości potraw.

Kiedy miałam 5 lat, pojawiło się w naszym domu zło. Kilka dni trwał ubecki kocioł. Rewizje, obcy ponurzy faceci kręcący się po domu. Wiało grozą. Ukrywałam się przed tym złem w kuchni, trzymając się nianinego fartucha. Oni tam raczej nie wchodzili. W oczach Niani była nienawiść. Znowu ktoś obcy i wrogi nas wypędza. Takie było prawo komunistycznych służalczych zbirów. Wkrótce zabrali firmę, tatę zamknęli w więzieniu. Wrócił. Ale bezpieczny, ciepły, radosny dom przestał już istnieć. Wkrótce nadszedł nakaz eksmisji i...

.....**P**rzeprowadzka do Milanówka, gdzie mieszkała Marychna – doktorowa.



Niania zamieszkała w kuchni, babcia w pokoju stołowym, rodzice w salonie. My miałyśmy z Anką mały, przechodni pokój. Mama już tak naprawdę nigdy nie była wesola. Tata wracał późno. Anka poszła do szkoły. Ja miałam najmniej zajęć i spędzałam dużo czasu w domu - z Babcią i Nianią. Były duszą naszej rodziny. Kompletnie różne, stanowiły jednak dla mnie opokę. Z nimi prowadziłam rozmowy, słuchałam bajek i opowieści. Chodziłam z Babcią na spacer, a z Nianią do pobliskiego magła. Na plotki. Każda z moich ukochanych starszych pań przekazywała swoją specyficzną mądrość i filozofię życiową.

Niania była bardzo wierząca. Pamiętam, jak kłóciła się z gospodarzem naszego domu, komunistą, Józefowiczem. Stawała oparta o łopatę czy grabie w swoim małym warzywnym ogródku i mówiła: „Zobaczy, jak umrze i na sądzie Boskim stanie, że Bóg jest i sprawiedliwość czyni!”, a on odpowiadał „A jak wy umrzecie to dopiero będzie, bo tam niczego nie ma!”. Obydwoje już na tamym świecie. Może się spotkali i uzgodnili kto miał rację

Niania i mama na pewno bardzo się kochały, były niewątpliwie przywiązane do siebie. Niania zastępowała przez lata swojej Teryni matkę, która dwuletnią córkę

opuściła na zawsze. Niania wspominała, jak jedyny raz w jakiejś sprawie babcia pojawiła się w Bobrownikach. Mama miała kilka lat. Była ogromnie przejęta przyjazdem swojej pięknej matki. Była kolacja. Mama nie mogła nic przełknąć z wrażenia. Jedyne zdanie które matka wypowiedziała było: „Ależ z tej Tereski to francuski piesek”. Potem odjechała. Mama zapłakana zasnęła w ramionach niezawodnej Natali. Nigdy więcej nie chciała już spotkać się ze swoją matką. Dopiero narzeczonemu namówił ją, żeby odwiedziła matkę przed ślubem. Babci – młodszy o 20 lat drugi mąż - zmarł wcześniej. Wdowa przyjeżdżała czasem do Milanówka. Mieszkała zawsze u cioci Marychny. Nas tylko odwiedzała, ale nikt jej nie lubił. A najmniej Niania.



Kiedy byłam starsza, moje życie wypełniła toksyczna przyjaźń z Agnieszka, córką Marychny. Nie spędzałam już tak dużo czasu w domu. Ale Babcia i Niania trwały. Kiedykolwiek ich potrzebowałam stawały na głowie, żeby mi pomóc. Czy dogodzić. Niania od rana rozpalala pod blachą i zabierała się do gotowania dla całej rodziny. Były mięsne pieczenie w

sosach podlanych suto śmietaną, gołąbki, wereszczaka – czyli kielbasiane plasterki w ostrym sosie pomidorowym, przepyszne pierogi z mięsem, serem, lub owocami, różne leguminy i wyśmienite ciasta drożdżowe z kruszonką. Lubiałam patrzeć jak ciasto rosło i nie mogłam się doczekać kiedy Niania wyjmie z piecyka gorące brytfanny. Niania opowiadała mi czasem historie z Bobrownik. Jej życie zmieszane na zawsze z losami mojej rodziny.

Życie w Milanówku było w środku w domu ciasne i nie bardzo przyjemne, natomiast, ogród pamiętam słoneczny i radosny...





Wkrótce po mojej maturze, mama dostała służbowe mieszkanie w Warszawie, na ulicy Lwowskiej. W domu bankowym. Było nas już tylko pięcioro. Anka wyszła za mąż i mieszkała na wsi. Przyjeżdżała często z małym Pawełkiem. Niania znowu pokochała dziecko z naszej rodziny. Jej rodziny. Tulila go, nosiła na rękach, przebierała i opowiadała znowu swoje piękne bajki.



Kiedy przenieśliśmy się do Warszawy radość była wielka. Co prawda Niania znowu zamieszkała w kuchni, a my w jednym pokoju z Babcią, ale była łazienka, wszędzie blisko i... dużo gości. Mama nazywała swoje mieszkanie na Lwowskiej „Herbaciarnią przy gościńcu”. Rzeczywiście. Wszystkim było po drodze. Nikt wtedy nie dzwonił, tylko po prostu wpadał.

Niestety radość nie trwała długo. Tata odszedł z inną kobietą. Babcia przez jakiś czas była jeszcze z nami, ale i ona wywędrowała za tatą. Ja pojechałam do Anglii. W mieszkaniu na Lwowskiej została mama z Nianią. Niania pocieszała mamę: „Niech się Pani tak nie martwi. Na każdego chłopca małpi rozum przychodzi”.

W domu pojawił się telewizor, Niania stała się zagorzałym widzem. Przychodziła na Dziennik. Przeklinała komunistyczne kłamstwa. Czasem nie była pewna. Pytała: „Czy to aby komunista, czy socjalista?”. Socjalistą był dla niej Pan Starszy. Założył szkołę dla dzieci, udzielał się dobroczynnie, dbał o ludzi, którzy dla niego pracowali. Socjalista, więc miał u Niani szansę. Komunistów przeklinała bezlitośnie. Walczyli z kościołem, odebrali „wolną Polskę”, rozkradli majątki. Mieli według Niani jedną drogę. Szli prosto do piekła. Bezapelacyjnie! Program oglądała do końca. Był tylko jeden. Wszyscy oglądali to samo i następnego dnia filmy, sztuki były szeroko komentowane. Niania lubiła oglądać poniedziałkowy Teatr Telewizji i czwartkową Kobrę. Wszystko było prawdą i działało się aktualnie. Niania przeżywała wszystko w dwójnasób, gdyż wierzyła, że postaci telewizyjne ją widzą. Kiedy spiker żegnał widzów, unosiła się lekko na krześle i kiwała z szacunkiem głową. Kiedy zobaczyła jak Marek Perepeczko całuje w jakiejs sztuce dziewczynę, wołała: „A to Agnieszka mu da, jak tylko do domu wróci! Żeby tak przed wszystkimi tę zepsutą zmierzotę obściskował. Wstydu to on już nie ma!”

Niania cierpiała na otwarte rany żylakowe. Całe życie pracowała ciężko. Gotowała, prasowała, sprzątała, nosiła wiadra wody ze studni w Milanówku. Nie było na to rady. Marychna dostarczała różne lekarstwa. Chodziła z nią do doktora Lotha. Coraz częściej Niania leżała obolała na swoim łóżku. Mimo podeszłego wieku miała kruczo - czarne włosy. Na noc starannie plotła dwa warkocze, a w dzień układała je w kok upięty nisko nad karkiem. Między mamą i Nianią toczyły się nieustanne spory. Niania chciała wszystko robić, a mama oszczędzała ją przejmując na siebie domowe czynności. Jeszcze czasem piekła swoje wspaniałe ciasta, a na mamy gotowanie trochę zrzedziła. „Bo Pani taka jest pryndka, a do porządnego gotowania to trzeba się przysposobić i nie gonić jak po ogień.”

Z Anglii wróciłam w sierpniu 1967 roku i zaraz był mój ślub z Andrzejem. Niania szanowała Andrzeja, ale narzekała, że jest strasznie „wyliczalny”. Porównywała go do męża Anki, Wojtka. Tamten – mówiła to taki „dający jest , choć to do babów za chętny”.



Urodziła się Patrycja. Po porodzie przez trzy tygodnie byłyśmy na Lwowskiej. Niania była wniebowzięta. Od razu pokochała malutką. Jakiś czas, w lecie była Niania u nas w Falenicy. O mało nie wpadła do piwnicy, ale udało mi się podstawić własne plecy i jakoś wydobyłyśmy się bez szwanku.



na Lwowskiej zaczął pojawiać się tata. Kiedy raz zanocował, Niania, zgorszona burczała: „ Męża nie chciała, a kochanka sobie wzięła!!”. Cały dzień nie odzywała się do mamy. Wieczorem przyszła na telewizję, ale kiedy tata pojawił się w pokoju, to ostentacyjnie zabrała swój stołeczek i złowrogo pomrukując wyszła.

Miłość Niani i mamy była zdecydowanie toksyczna. Mama pisała:

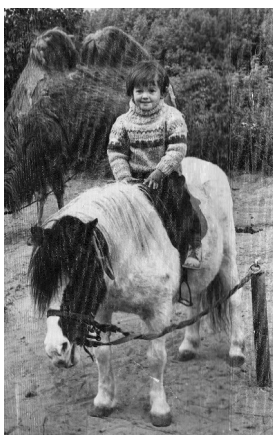
- Niania ..(..).. dręczy mnie humorami, niewdzięcznością, niechęcią do ludzi, zawiścią....(..) , ale cóż? .. Jest to „potwór, którego kocham”. Czasem pienię się ze złości. Ale kiedy spojrzę na tę zgarbioną postać, na obolałe jej nogi, złość mi przechodzi i na nowo dbam o nią, podtykam śniadania do łóżka, kolacyjki na tacy podaję jej, kiedy siedzi w fotelu patrząc w telewizor.....”



Na szczęście Niania nie cierpiała na samotność. Ktokolwiek wchodził do domu wchodził najpierw do kuchni, żeby przywitać się i porozmawiać z Nianią. Najwięcej lubiła wizyty dzieci Tereski, a jeszcze bardziej ich dzieci – Patrycji i Pawelka. Jej twarz rozjaśniała się. Potajemnie sięgała do swojego portfela i dzieliła się z nimi swoją nikłą emeryturą. Tylko takie prezenty mogła im dawać. Rozmawiała chętnie z Marychną i Teresą Luboradzką. Braci mamy „chłopców” tolerowała, ale jak mogła to zawsze przypieła im jakąś łatkę.

Tata miał odpokutować swoje grzechy, dbać o nią i o mamę, przynosić jedzenie, lekarstwa – jednym słowem „zapłacić za krzywdy”. Kiedy mama wyjeżdżała to on zajmował się nią najtroskliwiej. Nawet kiedyś przyznała, że pan Konarski „opiekował się mną jak anioł”

Jednak jej najlepszą rozrywką była nadal telewizja. Miała swoje sympatie i antypatie. O Irenie Dziedzic mówiła „ta dziwa wstrętna”, potem przyszła kolej na Marylę Rodowicz. Dowodziła z całym przekonaniem, że „ ta Rodowicz to wepchła się na scenę – to dopiero partyjna! Patrzcie, jaka mocna! A wszyscy mówili „po co się tu wepchła, nikt pani tu nie prosił, proszę się wynosić!!”. Kiedy mama zaprzeczyła, to z wielkim oburzeniem powiedziała: „wiem co mówię, przecież sama to słyszałam!! Nawet nie warto było przekonywać.



27 lipca 1974 roku mama opisuje imieniny Niani:

- „przygotowałam rano tackę z różnymi imiennymi prezentami. Potem zatelefonowała do niej Pat. Zjawił się Andrzej z prezentami i kwiatami, potem Andrzej Kielczewski z

wodą kolońską i hiszpańskim mydełkiem, Busia, Marychna – elastyczne pończochy , dzwoniła Hania z Lublina, Antek..... jednym słowem solenizantka czuła się ufetowana.”

4 września 1974: - Niania siedzi na fotelu za moimi plecami, okryta szalem i przykryta kocą i patrzy na ukochaną „terewizję” – jak zawsze mówi. Bardzo biadoliła, że dzisiejszy dzień Mistrzostw Europy w Lekkiej atletyce nie przyniósł Polakom większych sukcesów. Zupełnie rozczulający jest ten jej patriotyzm, ale jednocześnie bardzo śmieszny. Jeśli tylko Polak nie zwycięży, to oburzona mówi że: „to te zmierzony ich pokrzywdziły, bo ja wiem, że Polak wygrał! Kopłabym ich za to!!” Kiedy patrzy na międzynarodowy mecz piłkarski to oburza się, że „ tamci postavili tam(w bramce) takiego dziada, który piłki łapie i dlatego nie mogą wrzucić piłki do bramki” Kiedy tłumaczę, że nasi mają też „takiego dziada” to odburkuje: „Nasi – to co innego!”

Tak to żyły sobie Niania z mamą – czasem się nienawidząc, czasem kochając. Nikt z rodzeństwa mamy nigdy nie zaproponował, wzięcia Niani choć na chwilowy urlop, nikt też z nich nie pomagał mamie w utrzymaniu Niani finansowo. Były nierozdzielnie sobie przeznaczone.



Niania była coraz słabsza, coraz bardziej obolała. A tu prawdziwa katastrofa. Mama ma czerniaka i trzeba jej usunąć oko. Jest rok 1976. Wracam Anglii i wkrótce odchodzę od Andrzeja. Odtąd zamieszkamy z Pat w Warszawie. Ambasada Finlandii, w której pracuję jest niedaleko. Jesteśmy bardzo częstymi gośćmi na Lwowskiej. Staram się w miarę możliwości pomagać. Anka i Wojtek też przyjeżdżają częściej. Niania żyje naszym życiem. Coraz jej więcej w naszych myślach i sercach.

Lato roku 1972, to ostatnie chwile Niani. Mama jest po wylewie. Nie ma już siły opiekować się Nianią. Postanawiają z Marychną umieścić Nianię w domu opieki. W pierwszym odruchu mówię, że nie oddam Niani, tylko ją wezmę do siebie. Jednak Niania wymaga już całodobowej opieki. Ja pracuję całymi dniami i ciągle wyjeżdżam służbowo. Pat jest jeszcze mała. Mamy małe mieszkanie. Po długich perswazjach łamię się i zgadzam się na umieszczenie Niani u sióstr na Solcu.

Odwiedzam ją prawie codziennie. Załamanie przychodzi w niecały miesiąc. Niania leży z wysoką gorączką. Kiedy wchodzę do pokoju, jej sąsiadka mówi: „Jak dobrze, że pani przyszła. Niania od godziny woła „Joasiu, Joasiu, Joasiu.....”

Ona umrze wkrótce...” – mówię do siostry, która się nią opiekuje. „Na pewno nie dziś w nocy. Może pani spokojnie iść do domu i się przespać. Jeśli się pogorszy, to zadzwonię.” – obiecuje. Wierzę jej niestety i wychodzę. O świcie telefon – ostateczny. Niania nie żyje. Jedziemy natychmiast z cicią. Niania leży z twarzą spokojną. Już nie czuje bólu i tęsknoty.

Ból jest we mnie. Gdybym tylko wiedziała, że to będzie tak krótko Odchodziłaby przy nas ... w domu.....

Czarnów, 29 lutego 2008

Joanna Kielczewska

